

Cena potrójnego zeszytu 50 zł.

KAMENA

M
I
E
S
I
Ę
C
Z
N
I
K



L
I
T
E
R
A
C
K
I

25-lecie śmierci ALEKSANDRA BŁOKA

LUBLIN
CHEŁM
ROK VII

NR 8-10

ROK VII

KAMENA

NR 8-10
(68-70)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

CZERWIEC - SIERPIEŃ 1946 R.

TRZEĆ NUMERU ÓSMEGO - DZIESIĄTEGO

EUG. TAGER	Aleksander Aleksandrowicz Błok . str.	157
ALEKSANDER BŁOK	Z cyklu „Ante lucem“	160
	Z cyklu „Wiersze o pięknej Pani“	161
	Z cyklu „Rozstaje“	162
	Z cyklu „Pęcherze Ziemi“	167
FRANCISZEK SIEDLECKI	Dwa fragmenty	168
ALEKSANDER BŁOK	Z cyklu „Wiersze różne“ t. II	171
	Z Cyklu „Miasto“	174
SERGIUSZ KUŁAKOWSKI	„Trzy miłości“ Al. Błoka	177
ALEKSANDER BŁOK	Z cyklu „Śnieżna maska“	182
	Z cyklu „Faina“	188
	Z cyklu „Wolne myśli“	190
	Z cyklu „Wiersze włoskie“	191
	„Ogród słowiczy“	193
N. KALITIN	Aleksander Błok	197
FRANCISZEK SIEDLECKI	Dziewięćset piątą	200
ALEKSANDER BŁOK	Z cyklu „Straszny świat“	206
	Z cyklu „Odwet“	212
	Z cyklu „Jamby“	218
	Z cyklu „wiersze różne“ t. III	221
	Z cyklu „Harfy i skrzypce“	222
	Z cyklu „Ojczyzna“	223
	Z poematu „Odwet“	231
FRANCISZEK SIEDLECKI	„Obrachunki“	233
	„Dwunastu“	237
	„Scytowie“	245
	Noty	247
	Odpowiedzi od Redakcji	249
	Pisma i książki nadesłane	250

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub., Reformacka 43.

Wydawnictwo: Zespół „Kamenny”.

Administracja: Lublin, ul. Bronowicka 14 m. 4

Redakcja i Administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna od września (rocznik VIII) 150 zł.

Przyjmuje administracja

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 50 zł.

kas. 2552 Inkleb,

K A M E N A

MIĘSIĘCZNIK LITERACKI

Rok VII

czerwiec — sierpień 1946 r.

Nr 8-10 (68-70)

ALEKSANDER ALEKSANDROWICZ BŁOK

(na 25-lecie śmierci)

Aleksander Aleksandrowicz Błok urodził się w Petersburgu w roku 1880. Ojciec jego wykładał prawo państwowe na uniwersytecie warszawskim. Dziecięce i chłopięce lata Błoka upłynęły w petersburskim mieszkaniu dziada, gdzie panowały kulturalne tradycje liberalnej inteligencji szlacheckiej, oraz w „wonnym zaciszu małego dworku“, podmoskiewskiej posiadłości matki — Szachmatowie — w atmosferze przesiąkniętej zainteresowaniami literackimi, nieco ciepłarnianej i kobiecej, dalekiej od wszelkiego zetknięcia z „surowym życiem“. Romantyczne marzycielskie elegie Żukowskiego, filozoficzna liryka Tiutczewa, migotliwa - impresjonistyczna poezja Feta — oto najsilniejsze wrażenia artystyczne młodego Błoka. W latach uniwersyteckich do tych oddziaływań przybyło przejęcie się idealistyczną filozofią Platona a zwłaszcza na długo władający Błokiem urok dzieł Włodzimierza Sołowiowa — filozofa, mistyka i poety, związanego z rodziną matki węzłami dalekiego pokrewieństwa. Wszystko to przygotowało wizjonerstwo romantyczne Błoka i pchnęło go w szeregi rosyjskiego symbolizmu, prądu, który powstał niedawno, na początku w. XX, a już głośnego nazwiskami W. Briusowa, K. Balmonta, D. Miereżkowskiego, A. Biełego i innych.

Z natury swego talentu Błok był najczystszy lirykiem i swój pogląd na świat wcielał zawsze w kształty swoistego romansu lirycznego ze zmieniającymi się maskami bohatera i bohaterki. Tak więc pierwsza jego książka „Wiersze o pięknej Pani“ rozwija przed czytelnikiem spowiedź liryczną poety w motywach rycersko-religijnej służby u Niebiańskiej Ukochanej — Madonny, majaczącej w mroku wysokich katedr, Królowej, zamkniętej w rzeźbionym swym pałacu. W następnych zbiorach „Radość mimowolna“, „Śnieżna maska“ — powstają obrazy Nieznajomej, tajemniczej, pięknej zjawy, przepływającej na tle knajpiarsko-płaskiej rzeczywistości, Śnieżnej Dziewy, rodzącej się z nocnego chaosu bezdenne gwiazdziste nieba. Zmienia się ogólny charakter obrazów symbolicznych, gama kolorów, sam ton przeżycia lirycznego: religijne, błogością owiane zakochanie wypiera upojna i tragiczna namiętność; złoto i lazur, purpurowe zorze podnoszące przysze zjawienie się mistycznej Pięknej Pani, ustępują kolorystyce „lemonicznemu“, błękitno-liliowemu, krążeniu śnieżnych wi-

chrów pieśniami i tańcom zamieci. Blok mówił o sobie jako o człowieku, który urodzony w głuchą noc ujrzał nad sobą lśnienie jednej gwiazdy i przez całe życie wyciągał ręce do niej jednej". Jego symboliczne postacie kobiece były właśnie różnymi wcieleniami tego lśniącego ideału romantycznego jedynie zdolnego do oświelenia „głuchej nocy” otaczającej poetę rzeczywistości. Mistycznie nastrojone dekadencje koła symbolistów przyjęły wiersze Błoka z zachwytem.

Lecz pocie sądzone było rozczarować wkrótce swych wielbicieli. Romantyczne marzenia miały wartość dla niego jedynie jako zapowiedź prorocza bliskiego nadejścia „życia pięknego, wolnego i jasnego” lecz niejasno przezuwane przez Błoka „przeobrażenie świata” przygotowywało się w głębi „ziemskiej” społecznej rzeczywistości, we wzrastającej wciąż walce mas ludowych o swą wolność, a nie w widmowych pozaświatowych sferach, które symboliści uznawali za wyższą realność. I Blok, człowiek, jak go określił Gorkij, „nieustraszonej szczerości”, odrzucił bezlitośnie najdroższe mu marzenia, gdy tylko przekonał się o ich iluzoryczności. Już w roku 1905 w dramacie lirycznym „Budka jarmarczna” („Bałaganczik”) wyśmiał z gorzką ironią swe niedawne nadzieje mistyczne.

Po reakcji roku 1905, która w uświadomieniu poety spełniła rolę przełomową, w okresie reakcji, która nastąpiła, gdy w społeczeństwie rosyjskim rozkwitły krańcowe indywidualistyczne, antyspołeczne, dekadencje, mistyczne nastroje, Blok intuicją prawdziwego artysty zro zumiał, że wielka sztuka żyje tylko w oparciu o prawdę: „geniusz tylko mówi prawdę, tylko prawda, jakkolwiek byłaby ciężka, jest lekka, jest „lekkim brzemieniem”. Prawdę, która zniknęła z życia rosyjskiego, prawdę tę przywrócić — naszą jest rzeczą” Niezwykle ostro i chorobliwie przeżywając szaleństwa carskiego terroru, tragedię nierówności społecznej, Blok z namiętnym oburzeniem powstaje przeciwko niedawnym towarzyszom broni, zamykającym oczy na zło, panujące na świecie, usypiającym się religijno-mistyczną scholastyką w modnych salonach literackich Moskwy i Petersburga.

Wirywa się z ciasnych cel symbolicznych na wolną przestrzeń życia prawdziwego: „realizmu nam potrzeba, nie ma nic straszniejszego na świecie nad mistykę”. Swe gorzkie otrzeźwienie z oszłomienia marzeń romantycznych przedstawił symbolicznie w małym arcydziele—poemacie „Ogród słowicy”. Widmowa bajkowość i impresjonistyczna falistość obrazów wcześniejszych schodzi teraz na plan drugi. W twórczość Błoka w latach 1913—1919 powstają intonacje męskie i surowe; poprzez ostre, lecz prawdziwe kolory występują nieokresane zarysy prawdziwego nieupiększonego świata. Blok nazwał go „Strasznym światem”. Lirykę jego przenikają nuty złowieszcze. Dojrzały Blok wyrasta w wielkiego poetę tragicznego, z wstrząsającą siłą głoszącego cierpienia człowieka, w poetę nie wyrażającego zgody na bezduszny, „martwy” układ współczesności („Taniec śmierci”, „Życie mojego przyjaciela” i in.). Kulturowaną przez sztukę dekadencją indywidualistyczną izolację jednostki odczuwa Blok jako najstraszniejsze z przekleństw ciążyących na człowieku. Tematowi temu poświęca Blok swój monumentalny, ale nie dokończony poemat „Odwet” (1910-1919)

Ale zarówno w przypuszczalnym finale „Odwetu”, jak i w poemacie dramatycznym „Pieśń losu” (1907), w artykułach z lat przedwojennych i w szeregu cyklów lirycznych coraz częściej i uporczywiej pobrzmiewać zaczyna drugi majorowy temat, nakreślający wyjście z tępego zaułka rozpacz. To temat ludu, ojczyzny. Rosji. Tylko w przewycięzeniu przepaści między „inteligencją” i „ludem”, tylko w złączeniu się ze źródłem duszy ludu widzi Błok możliwość uleczenia tragicznie nadłamanej, opustoszałej i samotnej świadomości współczesnego człowieka. Z ogromną miłością i przenikliwością tworzy Błok obraz liryczny Rosji, obraz, który wpoił w siebie oddźwięki twórczości wielkich poetów rosyjskich: Puszkina, Lermontowa, Tiutczewa, Niekrasowa. To smutny, ale piękny obraz Ojczyzny, która przeniosła swe rysy niestałe poprzez wszystkie doświadczenia historii: to wieczny głos żywiołu ludu, nie wyczerpalnego źródła życia i twórczości. Historyczna przeszłość Rosji, obraz kraju, powstającego do walki z hordami cudzoziemskich ciemżycieli („Na polu Kulikowym”), uświadamia się jako symboliczny wróżebny obraz dnia dzisiejszego, współczesnej walki Ludu, jako zapowiedź przyszłego zwycięstwa nad wszystkimi wrogimi siłami.

W ten sposób z tematem Rosji splatał się temat rewolucji. Niejasne mistyfikatorskie nadzieje wczesnych wierszy stały się teraz głęboką i niezachwianą pewnością, że zbliża się czas niesłychanych przemian, niewidzialnych buntów”. Ze względu na swe wychowanie, swe zainteresowania codzienne Błok był niezmiernie daleki od konkretności życia politycznego, przedstawiał sobie niejasno charakter zbliżającej się rewolucji, czasem wątpił o jej możliwościach, ale w głębi swej istoty nie przestawał nigdy jej oczekiwać i wierzyć w jej zbawczą siłę („Jamby” i in.).

I dlatego, gdy zagrzmiał Październik 1917 r.. Błok włożył cały poryw swych twórczych sił w najlepszy swój utwór—poemat „Dwunastu” (1918), natchnione powitanie Wielkiej Rewolucji „Całym ciałem, całym sercem, całą świadomością słuchajcie Rewolucji” pisał w artykule, przedstawiającym swoisty publicystyczny komentarz do poematu. W genialnych rytmach poematu, w muzycznym obrazie wichru, zamieci, wcielił on groźną i upajającą „muzykę” rewolucji, wielkość rozszalałego żywiołu ludu, zrywającego się do tworzenia nowego i oślepijąco pięknego życia. W symbolicznym obrazie Chrystusa, niewidzialnie kierującego oddziałem dwunastu czerwonogwardzistów utwierdził wysoką prawość etyczną rewolucji, przedstawił masy rewolucyjne jako nieświadomych krzewicieli, „apostołów” nowej ogólnoludzkiej prawdy. Bezpośrednio po „Dwunastu” pisze Błok wiersz „Scytowie”, namiętny apel poetycki do Zachodu, aby wysłuchał głosu rewolucyjnej Rosji, wzywając wszystkie ludy na „bratnią ucztę pracy, zgody”.

EUG. TAGER

* * *

Jest w dzikim gaju u stóp jaru
zielony pagór. Wciąż tam cień.
Słuchając żywych fal pogwaru
zatracisz się w odměcie śnień.
Od traw i kwiatów wonią wzbiera
zielony pagór. W letni znój
tam żaden promień nie dociera
i tylko cicho szemrze źrój.
Kochanków pary tu nie będą
zaglądać pod gałęzie drzew.
Dlaczegoż kwiaty, te nie więdną,
dlaczego wieczny zdroju śpiew?
Bo w głębi tam, pod korzeniami,
cierpienia mych serdecznych ran
nieustannymi karmią łzami,
Ofelio, kwiatów twoich łan.

(„Ante lucem“ 1898--1900)
przełożył K. A. Jaworski

NIEZNANEMU BOGU

Czy ty w mą duszę życie tchniesz?
Czy ty z tajemnic zerwiesz welon?
Czy ty do lotu pieśni pchniesz,
co dziś szalone mgłą się ścielą?..

Wierz! Oddam, każdą kroplę krwi,
gdy mnie, któremu żyć nie łatwo,
rozewrzesz swej świątyni drzwi
i wskażesz szlak wiodący w światło!

Czy do dalekich jasnych bram
nieznanych dotąd duszom chorym
przywiedziesz mnie? Popatrzę tam
i krzyknę: — Bóg! Już kres ugorom!

(„Ante lucem“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Ostatni szkarłat zachód siał,
ostatnie przeszło wiatru tchnienie
i w chmur rozdarcia miesiąc wstał
i z dala pieśni ciche brzmienie.

Nadzieja wszelka młodych lat
stała w oczach mi wspaniała,
lecz wnet ją smutku zasnuł płat,
pieśń duszę mi na strzępy rwała.

To błysnął jeszcze stary bóg
odchodząc w krwawej luny sławie
i na południe w blasku smug
pomknęły żałac się żurawie.

(„Ante lucem“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Daleka jesteś, jak dawniej, jak zawsze,
nie znaleźć nigdy mi ojczystych włości.
Obce są tobie me smutki najżawsze
i duszy mojej słoneczne radości.

Surowy chłód — to twoja siła święta:
bezbożny żar świątyni nie przystoi.
Niech więc miłości — trumna niepamiętna
ty nad jej grobem tumem jasnym stoisz.

(„Wiersze o pięknej Pani“ 1901—1902)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Królewski szlak to. Stoję nisko.
Noc głucha, ognie w górze płoną,
niejasne światło sączą one,
a skoro świt, mam znaleźć wszystko.

Krok zrobię naprzód — mgły welony,
o krok się cofnę — mrok mnie wita.
A tam mi jedna linia świta
na linii — znak jest umówiony.

Lecz droga trudna — bełkot zdroju,
milczenie pól i lasu plama...
Ach, ziemio, ziemio obiecana —
nieosiągalna gwiazdo moja...

Znak umówiony — gwiazda błyska,
lecz słabe światła jej odbicie,
a tam za linią — nowe życie,
i skoro świt, mam znaleźć wszystko!

(„Wiersze o pięknej Pani“ 1901—1902)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Czekasz namiętnie. Wołam ciebie,
lecz głosy słyszę nieznajome.
Ognisko zgasło, dym znikł w niebie —
ojczysty stęp. On jest twym domem.

Tam zmierzch się ściela już na ziemię,
majaki, zjawy w mgieł tumanie,
dla mnie jest smutek, troski brzemię,
dla ciebie spokój, pojednanie.

O, jak przy tobie jestem biedny!
Ogarniam wszystko i rozumiem,
owładnąć pragnę tobą jedną,
lecz cóż — nie mogę i nie umiem!

(„Wiersze o pięknej Pani“).
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Złowrogi jest wieczorny chód
Ten wiatr, wyjący jakby w trwodze,
I tajemniczy słycać chód
Jak trwożny tupot nóg na drodze.

Dogasający zorzy pas
Jak przypomnienie bólów życia
Widomy znak, że zamknął nas
Fatalny krąg, nie do rozbicia.

(„Wiersze o pięknej Pani“)
Przełożył Jan Lechoń

* * *

Widziała go gawieźdź wszystka,
wśród ulic w senny dzień.
On szedł i cud swój przyciskał,
o mroźny potykał się cień.

Wchodził do cichej swej cell,
zapalał światło tu,
i lampkę świecił weselu,
i stawiał bukiet bzu.

W każdym wciąż wzbudzał śmiech wielki,
że dziwak każdy zeń drwił.
On myślał o jasnym futerku.
i znowu w mroku się krył.

Aż raz go odprowadzono;
szedł szczęściem, radością lśnić,
a rano w trumnie złożono
i cicho modlił się ksiądz.

(„Wiersze o pięknej Pani“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Wiatr krzew głogu potrąca z szelestem,
świece w oknie festonem mi znaczy.
Wiem, na schadzce z kochankiem gdzieś
jesteś.
A ja sam. Nic nie mówię. Przebaczę.

Nie wiesz, kogo tak bardzo miłujesz —
on się bawi tobą z humorem.
O cierń głogu się zimny ukujesz,
kiedy późnym powrócisz wieczorem.

Chociaż dawnom to wszystko już przeczuł,
będę czekał, aż przyjdiesz do domu.
Ty oddajesz się jemu w ten wieczór.
Wszystko jedno. Nie powiem nikomu.

I to wszystko, co serce twe gmatwa,
jasne stanie się wtedy mej głowie.
I gdy on cię pożegna tak łatwo,
mnie jednemu o wszystkim opowiesz.

(„Rozstaje“ 1902—1904)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Późno w noc wróciła drząc jak liść.
Podchodziła wciąż do ciemnych okien
Gdzieżeś była? — Milczy. Wodzi okiem.
Czyżby, czyżby czas mi iść?

Niespokojnie krążę wciąż po sali...
W oknach tych się czai jakaś moc.
Cienie, łyzy, tajone może żale
z tamtych drzwi szły do mnie całą noc.

Jutro cicho zamknę się w pokoju,
kiedy wróci do mnie szlochać znów,
i zasunę ponad łóżkiem swoim
cień kotary — świadka naszych snów.

Legnę sam, nieśmiały, uśmiechnięty
przetrawiając już ostatni chleb
i w spełnionych losów księdze świętej
ujrzę wyrok z woli nieb.

(„Rozstaje“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Tak. Wiedziałem. Zagasiłeś
 Jasną żagiew, we mgle dymnej
 Tracąc siły.
 W bezdni — mrok, a — druhu miły! —
 W niebie grom. I gwiazdy inne
 Nam na ziemi się odkryły.

Nie rozłączni już — Wieczystą
 Klątwę obaj dźwigać mamy.
 U mogiły na srebrzystej
 Drodze późno się spotkamy.

Tam — gdy mi uściśniesz ręce,
 Czułe chwycę cię za dłonie.
 Milczącemu w bólu, w męce
 Ucałuję blade skronie.

Tak. Słyszałem wieść o nowem!
 Masko duszy pogrzebowa!
 W Onże Dzień znajomym słowem
 Oglusz serce mi od nowa!

Wówczas to nam — w grzmiącej sferze
 Nieporównanego słońca —
 Jasny miecz otworzy dźwierzę
 W świt i Blask olśniewający.

(„Rozstaje“)

przełożył Seweryn Pollak

* * *

Ciemny, bladezielony
 dziecięcy pokoik.
 Niani głos ściszony:
 „Śpij, dzieciątko moje.
 W kącie lampka zielona.
 Od niej promyki lśniące.
 Niania stoi nad łóżkiem słodko nachy'ona...
 „Daj, otulę ci nóżki i rączki“.
 Niania siadła, o czymś sobie duma.
 Promyki się rozbiegły — trzy promyki...
 „Nianiu, nianiu, o czym ty tak dumasz?“
 Opowiedz o świętym męczenniku“.
 Trzy promyki. Jeden taki cienki...
 „Męczennik, dziecko, zasnął cicho w Bogu...
 — Zamknij oczka, zaśnij, mój maleńki...
 — Męczennik święty uszedł już z rąk

wrogów“

(„Rozstaje“)

przełożył K. A. Jaworski

FABRYKA

W sąsiednim domu okna żółte.
Tam wieczorami — wieczorami —
Zgrzytają zamyślane furty,
Ludzie zbliżają się do bramy.

Na głucho są zawarte wrota,
A gdzieś pod ścianą — gdzieś pod ścianą
Ktoś nieruchomy, czarny ktoś tam
Przelicza w ciszy zbuntowanych.

Wiem wszystko, słyszę stąd, z balkonu,
Jak nawołuje głosem grzmiącym,
Aby kark ugiął utrudzony
Tam w dole tłum wyczekujący.

Wejdę, rozpełzną się za furta,
Na plecy każdy brzemię zwali.
I śmiać się będę w oknach żółtych,
Że tych nędzarzy oszukali.

(„Rozstaje“)

przełożył Seweryn Pollak

* * *

To od stóp katafalku rząd stopni.
I nie dzieli nas nikt. Myśmy sami.
Towarzyszko mych dni, promieniami
Przedziwnymi zalanych, — odpocznij.

W białej trumnie spoczywasz uśpiona,
Nie budźże mnie — z uśmiechem mi wołasz.
Pozłocisty obrazek w twych dłoniach,
Złote pasma warkocza u czoła.

Świętowałem śmierć jasną, promienną,
Kiedym dotknął się ręki woskowej.
Wszystko inne opoka bezdenna
Pochowała we mgłę opalowej.

Śpij — nikt twego spoczynku nie przerwieć.
Dróg nieznanych jesteśmy poboczem.
Przez noc całą burzliwą bez przerwy
Ta świetlica ogniami migocze.

(„Rozstaje“)

przełożył Seweryn Pollak

Z GAZET

Wstała w olśnieniu. Przeżegnała dzieci.
I dzieci miały radosne sny.
Głowę skłoniła we włosów zamieci ---
ostatni pokłon i tłumione łzy.

Kola się zbudził. Uradowany.
W oczach mu jeszcze sen jasny lśni.
Rozbrzmiał i zamarł nagle jęk szklany:
to w dole głośno trzasnęły drzwi.

Mijały chwile. Przychodził człowiek.
Na ciepłej czapce orzełka miał.
Stukał i czekał pod drzwiami człowiek.
Nikt nie otworzył. Zabawy szął.

Dzień wigilijny mroźnie się śmiał.

Chowano mamy czerwoną chustkę.
Mama ją brała, gdy szła na targ.
Dziś zostawiła w domu swą chustkę:
dzieci chowały ją tu i tam.

Zmierch się już skradał. Latarnie błysły,
pływały cienie dziecięcych nóg.
Ktoś szedł po schodach wolno, z namysłem.
Stanął. Zapłakał. Rozległ się stuk.

Dzieci przycichły. Drzwi otworzyły.
Gruba sąsiadka przyniosła im ryż.
Rzekła: — Pojedzcie. Klękła bez siły,
kreśląc, jak mama, nad nimi krzyż.

Mamy nie boli, kochane dziatki.
Sama na szynach oparła kark.
Dobry jest człowiek, dobra sąsiadka.
Mama nie mogła. Nie trzeba skarg.

Teraz jej dobrze. Umarła matka.

(„Rozstaje“)

przełożył K. A. Jaworski.

BŁOTNY KSIĘŻYK

Na ścieżynie wiosenki
błotny księżyk maleńki
odmawia pacierz wieczorny.

Zszarzała czerni sutanny nad kępką,
niepozorna,
z dali podobna strzępkom.

W uciszeniu zorzy czerwonej
nie zobaczysz diabłał rzeszy żwawej,
tylko urok tej chwili
małymi dłońmi oplata go i pieści,
śpiew przedzmiernychowy chyli,
cicho szeleści.

A on się modli w ciszy,
uśmiecha się, kołysze,
zdejawszy z głowy czapkę.

I żabce chromej, kulejącej
zieleń da, ból kojące,
opatrzy chorą łapkę,
przeżegnawszy puści żabkę wolno:
— Idź rodzimą ścieżką polną.
Dusza moja rada
Widzi każdego gada.
Kocham każde zwierzę,
wszystkiemu wierzę...

I modli się półgłosem,
zdejawszy z głowy czapkę,
za nachylony kłosek,
za chorą łapkę zwierza
i za rzymskiego Papieża...
Nie lękaj się iść bagienkiem:
księżyk czuwa — poda ci rękę...

DWA FRAGMENTY

...A dziesiątego sierpnia dwudziestego pierwszego roku, pochowano łabędzia niepokalanego, Aleksandra Błoka.

Dzień był odświętny, bardzo cichy, upalny. Niebo skupione, jasne, bez chmurki. Dopiero koło południa zjawilo się na czystym tle błękitu parę drobnych różowo-złocistych obłoków. Ale zachód wypadł dziki, wróżący wicherzycę, krwawy i żółty — i runął łuną pożaru na miasto, cmentarz, świeży grób. Już o zmierzchu zerwał się nagle wiatr i powracających z pogrzebu przejął dreszczem.

1. W JASNYCH SŁOŃCA PROMIENIACH...

„Kochana babciul brzuch mnie bolał, a mnie oszukali i dali mi rycyny z emulsją. Dwa dni nie byłem już w szkole. Jutro pójdę. Piszę przez kalkę, którą dała mi mama, z tego papieru, który podarowała jej ciocia Fela. Ciocia Fela podarowała mnie papier do krótkich i długich notatek. Do krótkich w pudełku, które jest pokryte buziami kić. Do długich w pudełku z ptaszkami. Potem ja podarowałam mamie książkę do zapisywania, a Francik duży flakon perfum i różę...“
„Moja mamulo maciupęńka! Strasznie kocham ciebie i strasznie za tobą tęsknię. Czy prędko przyjedziesz. Napisz prędko o Franciszku i o sobie. Dzisiaj prosiłem Andrzeja o arkusz takiego niebieskiego papieru, który trzeba naciskać. Andrzej dał mi go bardzo chętnie i powiedział, żeby go pocałować i sam objął mnie i pocałował...“ „Kochana babciul! Strasznie chcę ciebie zobaczyć. Jutro u nas choinka i ja bardzo się z tego cieszę. U nas wszyscy zdrowi. Dziś mama pozłacała orzechy, a kicia spała koło niej, położywszy głowę na łapki, albo siedziała i przypatrywała się, Francik wbijał do orzechów gwoździki, a ja zawieszałem je na kijku...“ „Najdroższy drobiazgu! W Szachmatowie tak prześlicznie! Kwitną różę białe, czerwone i różowe...“

W Szachmatowie rosną wielkie lipy. W Szachmatowie, w cieniu tych lip stół stoi, przy którym przez całe lato smażą się konfitury. W Szachmatowie przy samym dworze — dwie bardzo wysokie sosny. Z werandy — oszklone drzwi do przestronnych, przytulnych pokojów. Z werandy, ze wzgórza, na którym stoi starodawny dwór, widok przedziwnie daleki, rozległy. Na pola, na lasy, na łąki, doliny, i wzgórze i wzgórze, ciągnące się aż po horyzont. Ogród stary, zarosły. Stuletnie świerki, brzozy, lipy. Srebrne topole. Orzechy i klony. Mnóstwo bzu, białe i czerwone różę. Klomby białych narcyzów, liliowych irysów. Aleja wysadzana starymi lipami, furka — kończy się ogród i znów widok daleki, rozległy. Na kwiecistą dolinę, przerzniętą strumieniem na staw i na bagna porosłe szuwarem, na wzgórze, ciągnące się aż po horyzont. A osiem wiorst dalej, na jeszcze wynioślejszej górze, w wielkim ponurym dworze — mieszka Faust i zakłeta królewna.

Tu rósł, rozwijał się, kształtował... Mówiono o nim, że od czasów Puszkina żaden chyba poeta nie był takim ulubieńcem losu: zabezpieczony, dostatni, prawie bogaty byt, przytulność, zacisze dziedzickiego dworu, rozmiłowane w chłopcu kobiety — głęboko kulturalne, mądre — matka jedynaka, ciotki, babki... głęboka przyjaźń z matką i wza-

jemne zrozumienie, troskliwe wychowanie, szerokie wykształcenie; zdrowie... postać smukła, zgrabna a bardzo mocna; bardzo piękna i bardzo szlachetna rasowa twarz, na której się jakby odcisnął duchowy dorobek wielu pokoleń; opanowane, wykwintne ruchy, zawsze bardzo staranne ubranie; niepojęty czar, czar i urok całej postaci, którym zdobywa oddanych przyjaciół, którym urzeka kobiety.

Siedemnaście lat — pierwsza miłość. W Bad Nauhelm, w czasie jednej z podróży zagranicznych... I pierwszy cykl wierszy: przed świtem, „Ante lucem“. Jeszcze niedrukowane, a już w odpisach sławne, już je młodzież zaczytuje w Petersburgu, pochłania w Moskwie, — ukochane wiersze, rewelacja wielkiego talentu, zadatek wiekopomnej sławy... I znów miłość: złotowłosa, surowa i nieprzystępna Liubow — królewna z dworzyszczą Fausta. I znów wiersze, wiersze, wiersze — o Niej...

Oddych naprasien. Daroga krutá.

Wieczer priekrasien. Stuczu w waratá...

Urwista droga bez odpoczynku. Pogodny wieczór. Stukam do wrót... Do tych wrót jeździł na rosłym pięknym białym koniu... krętą drogą wśród wzgórz... przez wioskę... — tak dobrze tam znają zgrabną postać młodego, przyjaznego barina i w pas mu się kłaniają przyjaźnie, z szacunkiem... Powroty w nocy, stępa, w świetle gwiazd i robaczków świętojańskich. Do ślubu, do starodawnej zapuszczonej wiejskiej cerkiewki pojedą trójka, z dugą ozdobioną wstęgami. Wiejski chór zaśpiewa: Zstąp, Gołębico... i Liubow', która jest Charitas czyli Miłość, będzie — jako gołębica. W ekstazie z cerkwi wychodzących spotkają chłopci z darami. Obyczajem starodawnym, staroruskim. I tak piękni ci młodzi, tak nieziemscy, takim światłem promienni, że struchleją weselni goście, poznawszy w tym ślubie Śluby jakoweś, jakoweś misterium przedziwne i nad głowami młodych widziana jest Gwiazda i szeroko rozeszła się Wieść tajemnicza, trwożliwa i družba Oblubienicy, graf Razwadowski, posłyszysz w sobie głos, Rosję rzuci i wstąpiwszy w rodzinnej swej Galicji do klasztoru, po latach infulą biskupią głowę swą pono uwieńczy...

Zamyka się pierścień „Wierszy o Pięknej Damie“. Jakoś niedługo potem znakomity literat i teoretyk, jeden z czołowych naówczas poetów, nieprześcigniony mistrz prozy, „Andrzej Biały“ — Andriej Bielyj — wybrał się na wieś w odwiedzinach do nowożeńców. Młodzi byli na spacerze: ze wzgórza, gdzie kończą się drzewa ogrodu, skąd widok na łąki i pola — ujrzał Bielyj w oddali ich dwoje. Na tle łąk ukwieconych, w jasnych słońca promieniach — ONA, Liubow' Dmitriewna: w powiewnej różowej narzutce, którą wiatr targa, młoda, silna, zarumieniona, z główką o gładko zaczesanych włosach koloru kłosów... Obok—ON: wysoki i smukły; rozrosły w ramionach, brązowo opalony, bez czapki, w wysokich butach, w przepasanej frendzlastym pasem śnieżno białej koszuli, którą mu żona w czerwone wyszyła łabędzie... Słońce i błękit, łąki kwiciste, cisza ukojna. Nad głowami dzwoniące skowronki.

Po obiedzie — gromadą na spacer. W promieniach zorzy zachodu, w wielkim ściszeniu Andriej Bielyj zobaczył cud: materializowała się poezja, urzeczywistniały się jedyne, najpiękniejsze, stokrrotnie pow-

tarzane, wyuczone na pamięć wiersze. Każda kępa drzew, każdy zakręć drogi ucieleśniał niezapomniane anapesty, każdy widok rozwił się w wiadomą strofę. Ktoś się odezwie, i zaraz się jego słowa zbiegną, ułożą — w tamte wiersze...

I tak w słońca potokach, w dźwięcznej fali najczystszej poezji, w tchnieniach łąk ukwieconych, w opalowej mgławicy zachwytu — płynęły zaczarowane dnie. Aż raz, na jakimś we dwóch spacerze, w upalne, znieruchomiałe południe (na tle łąk ukwieconych, w jasnych słońca promieniach...) Błok przemówił. Padły straszliwe słowa. O martwocie opanowującej byt. O tym, że wyrok dawno już zapadł. O losie, upadku, mrokach. O klątwie ciemnych sił dziedziczności. O zagładzie. Śmierci... I jak śmierć biały słuchał tych słów Andriej Bielyj.

2. RODZINA

W roku Pańskim 1755-ym szlachetnie urodzony Maklemburczyk, Johann Block wyemigrował z nieznanых powodów do Rosji, gdzie zdobył zaszczytną godność medyka imperatrycy Elizawieży Pietrówny, potem Jekatieriny II-ej, w wojnie siedmioletniej brał udział z Pawłem, podróż za granicę odbył i w nagrodę za wierną służbę ziemią hojnie obdarzony został. Parał się literaturą. Jeszcze szcudrzej obdarowany był syn jego, dygnitarz dworski Nikołaja I-go: jeden z synów tego magnata-obszarnika, Liew Alieksandrowicz, rodzony dziad poety, kolega szkolny Pabiedonoscewa i Iwana Aksakowa, jak i ojciec bardzo wysoki dygnitarz, ożenił się z wyjątkowej piękności córką głośnego z despotyzmu i tyranii ziemianina Czierkasowa. Sam znany skąpiec i donżuan, zmarł w szpitalu wariatów. Jeden z synów był petersburskim adwokatem, drugi — głośny z walk o dopuszczenie kobiet do uniwersytetów — profesorem botaniki. W jego rektorskim mieszkaniu w Petersburgu, w czasie gdy nad ranem rozchodzili się studenci z cosobotniego przyjęcia u profesora, urodził się Magnificencji wnuk — wielki poeta rosyjski, Alieksandr Alieksandrowicz Błok.

Matka poety, wnuczka po kądzieli sławnego podróżnika, badacza Azji Środkowej, Karielina, już nie wróciła do męża — posepnego despoty o dzikich, nieokiełzanych namiętnościach, który przez całe życie stał gdzieś na pograniczu genialności i szaleństwa. Który miał w sobie coś z wampira i ludzi przerażał mrokami swej duszy, demonizmem wyglądu. Który, jako młody student tak zafascynował Dostojewskiego, że ten zamierzał wprowadzić go, jako głównego bohatera do jakiejś zamierzonej powieści... Ten człowiek na śmierć zamęczyłby żonę, gdyby jej, w ciąży będącej, omal że siłą nie zatrzymał w Petersburgu profesor Biekietow — być może już wtedy obawiał się, że i w jego córkach tkwi załazek nerwowej choroby: później nieraz będą się one ratować ucieczką na dłuższy lub krótszy czas do neurologicznych zakładów. Matka poety chora na serce i coraz ciężiej zapadająca na epilepsję. Zresztą i córki i żona profesora Biekietowa — matka, ciotki, babka poety — były to kobiety bardzo łagodne, pogodne, dowcipne, wesołe nawet. Wszystkie bardzo muzykalne, o wybitnych zdolnościach literackich, zajmowały się twórczością oryginalną, pisały wiersze dla dzieci, były dobrymi, cenionymi tłumaczkami prozy i poezji. W domu państwa Biekietowych, w domu pełnym muzyki

i poezji, ech Puszkina i może jeszcze bardziej Niekrasowa, pełnym wszystkiego, co najcenniejsze i najszlachetniejsze w kulturze rosyjskiego ziemiaństwa, było jasno, czysto, swobodnie, szlachetnie — i pogodnie, jasne i czyste było w tym domu dzieciństwo Alieksandra Błoka.

...Tylko, że kiedy chłopczyk miał dziewięć lat wyszła powtórnie zamaż pani Błokowa: cichy, nieporadny Franc Kublickij - Piotuch (to jego mały pasierb nazwał „Franciszkiem“) nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego właściwie nosi na sobie mundur porucznika, pułkownika, generała (nosił go do samej śmierci...). Tak w ciszę starodawnego dworu wniknął zgiełk koszar pułku lejbgwardii: wiele lat przemieszka w nich Błok u matki — najprzód sam, a później z żoną: Liubow' Dmitriewną, złotowosą córką rosyjskiego Fausta — wielkiego Dmitrija Miendieliejewa.

Ożenił się też powtórnie profesor Błok, lecz i ta druga żona, półinteligentka, pochodząca z ciemnych sfer ogłupiających biuralistów, subiektów sklepowych, guwernantów, również opuści go wkrótce. Wróci do swego Petersburga — z małą córeczką, przyrodnią siostrą poety, słodką i nieszczęśliwą Angieliną — anielicą zbłąkaną w mrofach wielkiej nocy. I znów profesor Błok sam został. Znów mrok, znów pustka zapuszczonego mieszkania, znów zgroza samotności. Strach — niepojęty i nieodparty... W dalekim, obcym, wrogim mieście, w dziko zapuszczonym mieszkaniu, o późnym mrocznym zmierzchu... siadał do fortepianu posepny i obłąkany, złamany geniusz — i grał, grał w zachwycie i nienawiści obce, wrogie melodie, urywał nagle, miotał w mrok pokoju nienawistne i nieodparte, obce, groźne słowa, i znów, i znów grał w zapamiętaniu i pod ołowianym, brzemennym niebem Warszawy do późnej nocy szlochał, groził, szalał profesor Błok, Mickiewicz i Chopin.

FRANCISZEK SIEDLECKI („Sygnały“ Nr. 27 r. 1937).

* * *

Dziewczę śpiewało w cerkiewnym chórze
o tych, co radość zgubili swą,
o statkach mknących przez sine morze
i o znużonych obczyzną zią.

Głos jej tak śpiewał wionąc w kopule
i błyszczał promień na bieli rąk...
Słuchali, z mroku patrzyli czule:
śpiewa na szatce promienia krąg.

Już się zdawało, że radość będzie —
do cichych zatok okręty mkną
i na obczyźnie wreszcie osiedzie
tułacz, spokojny znajdując dom.

I głos był jasny, promień strzelisty,
ale tam, wyżej, u Świętych Drzwi,
drżał przy komunii płacz dziecka czysty,
że przecież nigdy nie wraca nikt...

(„Wiersze różne“ z t. II 1904—1908)

przełożył Józef Czechowicz

W ŁAPACH KOSMATYCH

W łapach kosmatych i strasznych
czarodziej kołysał wiosnę.
Pamiętając o snach wczorajszych,
dzieci grzecznie pokładły się do snu.

Mama je żegnała ręką zmęczoną,
żadnemu nie patrząc w oczy.
W stronie zachodniej smużką czerwoną
łza się ku ziemi toczy.

„Nie płaczcie, mamo, śliczna mateczko.
Ptak nam złocisty we śnie urośnie:
wczoraj, noc całą, z masztu piosneczką
gwarzyli, a okręt płynął ku wiosnie.

Huśtał się, płynął, huśtał się, płynął,
biedny marynarz patrzył ku brzegom
(przyjaciół został tam), we łzach ginał.
Czy ty masz także druha smutnego?“

„Miła dziewczeczko, śpij. Cóż się smucić?
Dzisiaj czym innym sen cię zabawi.
Twój sen wczorajszy nie może wrócić
tylko mnie jedno śni się i jawi...“

(„Wiersze różne“ z t. II).
Przełożył Józef Czechowicz

* * *
Już nacicha jasny wietrzyk,
noc nadpływa przez powietrze,
kruk na sosny gałąź spadł,
senną strunę zbudził ptak.

W obcym kraju półprzytomnie
czy ty wspomnisz kiedy o mnie?
O miłości skromnej mej.
czy ci we śnie będzie lżej?

Cóż, że w duszy twojej zmiany,
ponad tobą niezachwiane
duszy młodej skrzydła dwa
i kobieca wierność ma.

Nie pędź widma co cię muśnie,
proste, lekkie, zanim uśniesz,
gdy u boku innej wiosny
będziesz, miły mój, radosny...

A więc z Bogiem! Wieczór bliski.
Bystry lot jaskółek niski,
burza idzie w grzmieniu trąb,
noc spogląda w ócz twych głęb.

(„Wiersze różne“ z t. II)
przełożył K. A. Jaworski

LEGENDA

O, Panie, słyszysz? Czy przebaczysz, Boże?
Maj przepływał wysoko po niebieskim dnie.
Na bezludną ulicę wyszły w nocnej porze
roześmiane dziewczyny. Były — dwie.

Lecz za nimi już Trzeci cicho szedł ich tropem,
migiał w blasku latarni niesłyszalny zwid.
A one nie wiedziały... nie wiedziała o tym:
myślała, ach myślała, że już bliski świt.

Ale z nieba wciąż srebrniej gwiazd poświata ciekła,
płonęła w rozemdleńiu w nich wiosenna moc.
I nagle jedna rzekła... Nic nie słyszysz? — rzekła:
— O, jak strasznie, najdroższa z tobą w taką noc.

I miała ta dziewczyna suknię białą... białą,
a druga — czarną... Może córka twa?
I jedna drżała drobnituteńkim ciałem,
a drugiej śmiały się oczęta dwa.

O, Panie, słyszysz? Nie zechcesz ocalić?
Druga się śmiała i uciekła drwiąc...
A na ulicy martwej i pustej zostali...
Zostali... Trzeci, ona i noc.

I zdawało się blisko... Zdawało się blisko
drżący wlecze się ku niej szarzejący już brzask...
Lecz mgły kotara opadła tak nisko
i zasłoniła latarni blask.

Była sina zasłona. Była noc nieskończona.
I nocy pijanej przyszedł kres.
I gdy w trawie zabłysło lusterko stłuczone,
ona sama została wśród łez.

Nici pierwszych promieni rozsunęły się z wschodem
i słabe ręce schwytały nąć,
Ale miasto już hucząc zdarzeń korowodem
daleko gdzieś tam zaczynało żyć...

Czar miłosny przeminął — banknot w ręce się zwinął
i ulękła się zorza. Ale skinął Los —
z ulic nagle wezbrany potok ludzki wypłynął
i w zatrutą kurzwę — miasta wdzierał się głos.

Podchodzili sąsiedzi i szeptali natrętnie,
jakiś siwy staruszek przykuśtykał bez sił.
I tak stało się duszno... A wśród pól obojętnie
śmiał się w głos Niewidzialny i rozrzucił w krąg pył.

W tym ognistym тумanie krzyk rozpaczy: O, Panie! —
i jej dłoń się w piach wciska, w rozżarzony ten piec...
Panie, spraw, niechaj ziemia trochę lżejsza się stanie!
Odwróć, odwróć wzniesiony i karzący Twój miecz!

I ozwało się niebo: pośród kurzu i krzyku
zstąpił nagle Archanioł, jakby zesłał go Bóg.
Wszystkim zdało się wtedy, że on wyszedł z sklepiku
i że mąka się sypie z jego ramion i nog.

Lecz już głębię się rozwarła. Ziemia w koło zamarła.
W deszczu milknął daleko toczący się wóz.
Ciężba parła i parła. Burza niebo rozdarła.
Anioł białą dziewczeczkę do stóp Bożych niósł.

(„Miasto“ 1904 — 1908)

Przełożył K. A. Jaworski

NIEZNAJOMA

Co wieczór w dymie restauracji
pijany krzyk i dziki śmiech
i w gwar ten wciska się akacji
wiosenny i duszący dech.

Wiatr w dali pył z ulicy garnie,
nad nudą will kurzawy płaszcz,
i rogal błyszczący nad piekarnią,
i dziecka się rozlega płacz.

I co wieczora przy szlabanie
w melonach dowcipnisiów chór
z podmiejskim wdziękiem bawi panie
pławiąc się w szlamie mętnych bzdur.

I nad jeziorem skrzypią wiosła,
kobięcy dolatuje pisk
i tkwi bezmyślny i wyniosły
księżyc w górze krzywy dysk.

I co wieczora druh jedyny
z szklanicy mej zerkając dna
jak ja w napoju szuka winnym
od lez lekarstwa i od zła.

A obok chyląc się nad stołem
lokaje sennie trawia czas
i ktoś pijany z mokrym czołem
krzyczy: In vino veritas.

I co wieczora o tym czasie
(a może to igraszka snu)
pani w jedwabiach wpływa, zda się,
skroś mgłę wieczorną nagle tu.

I wśród pijanych płynąc z dumą
samotna mija stołów rząd
i pachnie mgłami i perfumą,
gdy zajmie swój przy oknie kąt.

I tchnie legendą starych krajów
jedwabiów jej falistych toń,
żałobny się kołysze rajer
i delikatna wabi dłoń.

Bliskością jej opanowany,
wpatruję się w krepowy szal
i widzę brzeg zaczarowany,
zaczarowaną widzę dal

Zgłębiam tajemnic głuchych wątki,
czyjs w ręku mam słoneczny kwiat
i wszystkie duszy mej zakątki
przenika cierpki wina czad.

W skłębionych myśli rozkołysie
porusza się rajeru baśń
i na dalekim brzegu lśni się
bezdennych oczu bława jaśń.

W mej duszy skarbów leży złoże
i od nich klucz ja tylko mam!
Słuszność, pijany masz potworze!
Prawda jest w winie — wiem to sam

(„Miasto“)
przełożył K. A. Jaworski

KLEOPATRA

Panopticum swe drzwi otwiera
już drugi, trzeci, czwarty rok.
Natrętny tłum się ciągle wdziera,
oblega ciasnej sali mrok.

Królowa w trumnie leży szklanej,
nie — trup, nie — żywa, przy niej wąż,
a ludzie w ruchu nieustannym
bezwstydnie szepcą o niej wciąż.

Niedbale zwisa z nóg jej szata —
ach, gdybyż sen, ach, gdybyż śmierć!
a wąż powoli ją oplata
i kłosa jej woskową pierś.

I ja zhańbiony i sprzedajny
i błądzący od występnych trosk!
przyszedłem ujrzeć niezwykajny
na pokaz tu rzucony wosk.

Ogląda każdy cię tu teraz,
lecz nie wypowiesz żadnych skarg.
A gdybym w grób twój wstąpił — nieraz
usłyszałbym szept stłalych warg:

— Kadzidla palcie! Kwiaty sypcie!
Me ciało kwitło pełne sił —
Królową bylam ja w Egipcie,
a dziś jam — wosk. Jam — popiół. Pył. —

— Twój wdzięk mnie urzekł o, władczyni!
W Egipcie byłem jednym z sług,
dziś los poetą mnie uczynił
i cały świat u moich nóg.

Ach, spojrzysz z trumny swej, królowo:
upilaś sobą Ruś jak Rzym.
I ja i Cezar — jednakowo
stawimy czoło losom złym! —

Umilkłem. Patrzę. Leży cicha,
lecz się kołysze pierś jej znów
i widać, widać, że oddycha
i słyszę szept jej cichych słów:

— Na rozkaz mój dziś grom nie błyśnie
i innych muszę szukać ech:
pijany piewca Izę wyciśnie,
pijaną dziewczkę skrzywi śmiech. —

(„Miasto“)

przełożył K. A. Jaworski

Jam rzecz niezmierną wam zawierzył,
W powietrznej wszystko mgłę skowiałem.
Młot w łodzi. W myślach — bohaterzy.
W ten sposób u was łądowałem.

Czerwona jest mej łodzi ława
Od rozszarpanych marzeń tętna,
Lecz w każdym domu, w każdej sprawie
Bohaterskiego szukam piękna.

Widzę: młodzieńców wzrok zgaszony
I ślepe wasze są dziewice.
Z powrotem! W mgłę! W podziemne
[schrony!
Nie młota trzeba wam, lecz bicia!

Już wkrótce się rozstanę z wami
I wnet mnie zobaczycie w górze
Za dymiącymi gór szczytami,
Gdy będę leciał w ognia chmurze.

(„Miasto“).

przełożył Seweryn Pollak

TRZY MIŁOŚCI ALEKSANDRA BŁOKA

L. A. F. w hołdzie

Cwierćwiecze minęło od śmierci Aleksandra Błoka w sierpniu 1921 roku. W naszej epoce to okres zbyt wielki, aby po tylu stratach nie można było mówić o dawnych czasach, jako o czasach zamierzchłych. Nawet żywych można zaliczyć do umarłych. O Błoku można również mówić, jak np. o Puszkynie. Czas usuwa szczegóły, uwypuklając to, co najistotniejsze.

Błok był synem docenta prawa uniwersytetu petersburskiego — Aleksandra Błoka, który w latach 70-ych cieszył się powodzeniem w salonach stolicy, a to z racji swego sceptycyzmu i nowego nastawienia naukowego: psychologicznie - ekonomicznego. Był on częstym gościem w domu uczonego botanika, rektora Andrzeja Beketowa, idealisty z czasów ostatnich lat panowania Mikołaja I. Beketow miał trzy córki, z których jedna była tłumaczką z hiszpańskiego i innych języków, druga zaś miała stać się wybitną badaczką twórczości swego bratanka; trzecią — Aleksandrę, 18-letnią entuzjastkę, wydał właśnie za owianego romantyzmem docenta, który otrzymał katedrę na uniwersytecie w Warszawie, dokąd po zawarciu małżeństwa wyjechał wraz z młodą żoną i gdzie zamieszkał przy ulicy Wiejskiej — tam w roku 1880 urodził się przysły poeta.

Wkrótce jednak Aleksandra poznała, że mąż, utalentowany muzyk i filozof-uczony, ma charakter despotyczny, ciężki; rozpieszczona i nie pozbawiona hysterii, młoda kobieta zabrała dziecko i raz na zawsze wyjechała do ojca. Stosunki ułożyły się dziwnie: ojciec w swych

petersburskich spotkaniach z synem odczuwał jego nienawiść. W samotności spędzał długie lata w Warszawie. Żona jego otrzymała później rozwód i wyszła za mąż za Kublickiego - Piottuch, pułkownika z gwardii warszawskiej, gdy pułk rezydował już w Petersburgu. Był to człowiek skromny i niepozorny. Do tego czasu Aleksander Błok spędzał swe lata dziecięce w atmosferze kulturalnej, cieplarnianej i owianej poezją.

W roku 1898 Błok wyjechał z matką do Bad-Nuheim, gdzie poznał jakąś panią z południowej Rosji, kobietę, która zachwyliła 18-letniego młodzieńca. Odtąd, zgodnie z przyrzeczeniem, co 10 lat odwiedzał Bad-Nauheim: 1808—19... I w roku 1918 starał się o wyjazd za granicę, lecz pozwolenie otrzymał dopiero w roku 1921 w miesiącu swej śmierci. Dążenie to było wyrazem postawy jego cieplarnianej duszy, przepojonej marzeniami o miłości średniowiecznej (w. XII—XIII) oraz miłości późnych romantyków niemieckich (początek w. XIX).

Romantyzm matki i ciemny żywioł demoniczny ojca złąły się w jaźni Błoka tworząc burzliwą „całość bez pojednania dwóch przeciwnych żywiołów“. Swój ród ze strony ojca wywodził Błok od starożytnych rycerzy skandynawskich. Stąd — bliskie ujęcie psychiki starożytności skandynawskiej (Norwegia, Szwecja, Dania). Odbiło się to również w poglądzie poety na świat. Skomplikowanie duchowej jaźni było w duchu ówczesnych czasów, kiedy to twórca powinien był pojąć międzynarodowość wszelkiej twórczości duchowej we wszystkich jej płaszczyznach.

W roku 1900 umarł Wł. Sołowiow, poeta i filozof, hołdujący „Dziewicy Bram Tęczowych“ (postaci Bogurodzicy w ujęciu sekty platońsko-chrześcijańskiej — gnostyków). Jemu składał hołdy Błok wraz ze swym „bratem duchowym“ Andrzejem Bielym (Borysem Bugajewem, synem znakomitego profesora uniwersytetu moskiewskiego, poetą, mistykiem, uczonym, literatem, prozaikiem) oraz bratankiem Sołowiowa — Sergiuszem, poetą-mistykiem. We trójkę stworzyli mistyczny kult nadchodzącej epoki i zjawienia się Piękną w ziemskiej postaci. Dziad Błoka posiadał w odległości kilku kilometrów od kolei petersburskiej małą sadybę; niedaleko od niej podobną sadybę nabył słynny chemik petersburski Dymitr Mendelejew. Na początku w. XX Błok spotykał się często z córką Mendelejewa — Lubow' (to znaczy Miłość), piękną blondynką, niewiele młodszą od niego; był on już wtedy młodym studentem. Razem urządzali przedstawienia amatorskie w szopie sadyby Beketowów, grali w dramatach (szczególnie w „Hamlecie“, skąd obraz Ofelii, bliski jednemu z uwielbianych przez Błoka poetów — Fetowi). Stąd łatwo było przejść do uwielbienia „Miłości“ jako personifikacji „Piękną Pani“. Działo się to w roku 1898 i później. W ciągu szeregu lat na wsi i w Petersburgu trwa „romans romantyczny“ Błoka, który zakończył się małżeństwem, w twórczości zaś poety pozostawił ślad w przeszło 900 lirykach. Błok wybrał z nich niewiele i złożyły się one na wydane u progu roku 1905 „Wiersze o Piękną Pani“, w której obraz nadziemski kojarzył się z ziemskim uosobieniem tej jedynej Miłości. Petersburg i Moskwa, osiągnięcia literackie,

sława... To wszystko wprowadziło młodych Bloków w sfery kulturalne, które przeżywały wówczas napięcie twórczo-rewolucyjne. Napięcie zaś mistyczne ustępowało powoli miejsca innym przeżyciom związanym z nim zresztą. Boskie zbliżyło się z demonicznym, co w duszy Błoka związane było przez matkę i ojca. Demoniczne odziedziczył poeta po ojcu. Nieokiełzanie, ciemny ogień duszy, pociąg do przeżyć osobliwych w związku z żywiołem muzyki wywoływały ogrom namiętności. Potomek Skandynawów, zwycięzców mórz bezkresnych, odczuł w bezkresie Rosji, w bujności i dzikości swój żywioł przyrodzony. Gdy w okresie pierwszym najbliższymi mu poetami byli romantyk Żukowski, Aleksy hr. Tolstoj, teraz, po roku 1905, ovladnął jego duszą demoniczny Lermontow. Właśnie w okresie owym, trwającym lat kilka, zajmuje jego wyobraźnię twórczą obraz „Demona“ Lermontowa. Obok tego obrazu — obraz kobiety „ze skrzydlatymi oczyma, zakochanej w zarysach osnieżonego miasta“. Muzyka duszy ojca zaczyna górować nad rozwichrzoną, lecz jakże łagodną jaźnią matki, z którą Błok był związany od dzieciństwa tak głęboką przyjaźnią, że stale, codziennie obcował z nią osobiście, telefonicznie i listownie.

Piękną parą byli ci „młodzi Blokowie“. Zdawało się Miłość (Lubow') zjednoczyła ich na zawsze. Ale im więcej dusza ludzka jest skomplikowana, tym bardziej podlega ona przeżyciom sprzecznym i męczącym. Urodziło się dziecko i wkrótce umarło. Błok opłakiwał ten cios w lirykach. Oprócz tego żona jego odczuwała podświadomie, że poeta należy w duszy również i do swej matki. Od lat rozmówiana w teatrze Lubow' Błok, poddawała się ogólnemu nim zainteresowaniu. Od powstania bowiem Moskiewskiego Teatru Artystycznego Stanisławskiego minęło kilka lat. Nowe prądy teatrologiczne skojarzyły się w obu stolicach z bujnym rozkwitem dramatu, baletu, opery. Powstały odłamy nowego prądu Stanisławskiego kojarząc się z malarstwem, dekoratorstwem, muzyką. Szeroki świat sztuki podlegającej harmonii wszelkich jej przejawów, oparty o studia dawnych rozgałęzień twórczych zapanował bujnie wśród rosyjskich warstw kulturalnych. Rozkrzewił się uniwersalizm w postaci wiedzy teoretycznej i naukowej, jak i w urzeczywistnieniu najdalej idących marzeń, w których twórczość wszystkich narodów wszelkich czasów kojarzyła się w kolorową, melodyjną, niezmiernie bogatą całość. Można by przytoczyć mnóstwo nazwisk znakomitych twórców w dziedzinie kultury duchowej. Starczy wskazać na organizatora szeregu wystaw i imprez Sergiusza Diagieliwa, który po roku 1905 przeniósł się do Europy zachodniej i w ciągu kilku dziesięcioleci wstawiał balet, teatr, muzykę swego kraju w Europie i Ameryce.

Blokowie znaleźli się w centrum tego wiru intelektualnego o charakterze międzynarodowym. Życie stało się dla nich teatrem—widowiskiem fantastycznym, światem wymagowanym. Szereg współczesnych Błokom zajął wyobraźnię męża i żony. Powiew lekkości, w którym diabeł i przejrzyście boska kolidowali ze sobą, uniósł ich w krainę marzeń tak łatwo kojarzących się z rzeczywistością. Żona rzuciła się w „wir teatru“, gdzie mąż znalazł w sobie „demonizm“ ojca poprzez

Lermontowa i na pół obłąkanego malarza (twórcę Demona w grafice) Wróbla, swą demoniczną kobietę, aktorkę Natalię Wołochow. Wówczas poetyckość Lermontowa połączyła się z tą częścią poezji Mikołaja Niekrasowa, która była osnuta o tematy bezkresu i dwulicowości Rosji stepowej. Wołochowa stała się realizacją demonicznego bohatera (na Zachodzie byłaby to „sadyzka“) z biczem w rękę, nieubłaganej dręczycielki, jaką spotykamy u Strindberga. Tego Szweda zbliżył do Błoka poemat i tłumacz autorów hiszpańskich, aktor Włodzimierz Pestowski (pseudonim — Piast). Wołochowa w postaci „Fainy“ występuje jako czołowa bohaterka tego drugiego romansu Błoka. Zamiast lilij na okładce „Wierszy o Pięknej Pani“ obrał poeta szarą okładkę z ciemnozielonym tytułem drugiego zbiorku (1907 r.). „Radość niespodziewana“ (tytuł zapożyczony od nazwy czczonego obrazu Matki Boskiej). Ziemia wiosenna kryje czary objawiające się w fantomach umarłych, w fantomach męczących. Tak Błok określił „radość wiosny“, po której następuje śmierć... Śniega 1907 r. — „Śnieżna maska“... Cykl napisany w ciągu kilku dni... Znowu czarne płonące oczy Wołochowej, demonizm zawrotny. W roku 1908 „Ziemia pod śniegiem“ z tą „Maską“ — Spokój, pod którym zostały pogrzebane namiętności uroku wiosennego i demonizmu. Samospalenie się — oto tematy dramatu lirycznego pt.: „Pieśń losu“ (1909 i 1919) z postaciami Hermana (poeta), żony jego i demonicznego Fainy oraz trzech dramatów lirycznych, wydanych w roku 1908: „Król na placu“ (w stylu Ibsena), „Budka jarmarczna“ („Bałaganczyk“) i „Nieznajoma“ (w stylu t. zw. dramatów kukielkowych Maeterlincka). Rzeczywistość łączy się z płaszczyzną wyobraźni. Wszystko staje się warunkowe. Śmierć i Życie, Miłość i Nienawiść zatracają swe cechy ziemskie. Podstępny uśmiech panuje w rzeczywistości...

Tak przeżył Błok swą drugą miłość, demoniczną, męczącą i przeszedł w roku 1908 do okresu pewnego spokoju. Ten „pewny spokój“ był całkowitą „niepewnością“. Poprzednio wyobraźnię poety pochłaniało bezgranicze zielonych pól, które pokrywa następnie całun śnieżny. Następnie świat jego stał się Ojczyzną — Rosją, której Los kazał spełniać tragiczną rolę w krańcowych przeżyciach troskliwej miłości i twardości wobec tragicznych wydarzeń. Wołochowa — „Faina“ odešla daleko, ale kojarzenie Nienawiści i Miłości pozostało.

Pomiędzy „Piękną Panią“ a postacią demoniczną stanęła przepaść. A jednak kojarzenie tych przeżyć należało wywalczyć. Śmierć ojca w Warszawie („Demona“ — profesora uniwersytetu, z którym matka Błoka rozeszła się po urodzeniu syna) wywołała szereg przeżyć. Ale następnie — wyjazd z żoną do Francji i Włoch. Cykl pięknych „Wierszy włoskich“, wydanych z proroczymi i tragicznymi innymi poezjami z 1908—1910 r. w roku 1911 pod tytułem „Godziny nocne“, wskazywał na głęboki błękit Piękna na tle błękitnego nieba i nieskazitelną wartość.

Przeszłość spalona. Pozostaje... niebo, błękit.

I w latach 1911—1912, gdy szereg poetów rosyjskich z końca XIX w. i pocz. w. XX robił „bilans“ twórczości, Błok wydał trzy swe

tomu — romans liryczny: „Wiersze o Pięknej Pani“ (1911 r.), do których dodał wiele z 900 napisanych, „Radość niespodziana“ (1911 r.), którą uzupełnił „Śnieżną maską“ i „Ziemią pod śniegiem“ oraz „Godziny nocne“.

Tytuł: „Wiersze“, lecz t. I. — tytuł czerwony, t. II. — zielony, t. III — ciemno-błękitny. Okładka szara.

Ale w życiu Błoka zjawiła się trzecia kobieta. W Kijowie śpiewała w drugorzędnych rolach Lubow' Delmas, przepiękna blondynka; jednocześnie śpiewał tam bas — Piotr Andrejew. Pobrali się. Z Kijowa wyszło mnóstwo śpiewaków stołecznych. I Andrejewowie przybyli do północnej stolicy. Delmas znalazła się w przedującym teatrze operowym — „Teatrze Dramatu Muzycznego“. Tam Błok trafił przypadkowo na operę „Carmen“ Bizeta. Delmas była ładną podobną do żony w młodych latach.

Cykl „Carmen“ świadczy o wielkiej miłości. Od czasów wojny 1914 roku trwała ona do końca życia poety. I to tym bardziej, że imię było to samo. „Carmen“, „romanse cygańskie“, które zachwycaly w okresie „Fainy“ w związku z Fetem i wydanym przez Błoka przyjaciąłem Feta Grigoriewem (1915 r.) wiązały z poetą tę „blondynowatą Carmen“. W Bretanii przeżył Błok jakiś duchowy romans w roku 1911. Wskrzesił go w związku z Delmas. Powstał poemat „Ogród słowicy“. Tak złożył hołd swej trzeciej kobiecie, od której odrywał się do żony (cykl z 1915 roku. „O czym śpiewa wiatr“ — wiersze o zbyt wczesnej starości). Lubow' — pierwsza, czysta, przeźroczysta... Poprzez „demonizm“ Lubow' o zabarwieniu „starczym“, gdy t. zw. romanse cygańskie tumanily duszę, gdy tyle przeżyć i tyle utworów stańęło pomiędzy młodością a latami zbyt przedwczesnej starości i zgonem, który nastąpił w 41 roku życia spopielonego poety...

Piękne miłości i tragiczny zgon.

SERGIUSZ KUŁAKOWSKI

NA ŻEW ZAMIECI

Bardziej śnieżnych nie było zim,
bardziej w niebie strzępionych wióczek.
Tyś mi dała do ręki
srebrzysty kluczyk
i zawiadnąłem sercem twym.
Nad miastem cicho kołysał się dym.

Zamierały dźwięki.
Rosły zasp obrazy
i mrok się ścielił.
Srebrny wypłynął sierp.
A myśmy płynęli
skazani razem
na śmierć.

Księżyc w chmurach się śmiał.
Zerwał się śnieżny kłęb.
Wzrokiem ponurym
mierzyłaś głąb,
skąd rogów odgłos brzmiał
śnieżnej zamieci chórem.

I mgła załamała dłonie,
załamała ręce na krzyż,
a ty spuściłaś oczy
i dalej w wyż,
i zamieć wieńczyła nam skronie,
i jęk wichury, i rogów wtóry
nadiatującej nocy.

(„Śnieżna maska“ — „Śniegi“ 1904—1908)

przełożył K. A. Jaworski

SKRZYDŁA

Skrzydła lekkie w dal rozepnę,
ściany wietrzne nimi przetnę,
ziemski pył z sandałów strzepnę.

Nici, wicie się iskrzyste,
płyńcie, płatki gwiazd srebrzyste,
dmijcie, wichry uroczyste!

W sercu — lekkie niepokoje,
w niebie — mgławic gwiazdne zwoje,
srebrnościżne w krąg pokoje!

Sny zamieci węzowatej,
zawieruchy pieśń skrzydlatej,
czarodziejskich ocz agaty.

I jakoweś smutki w ciszy
mkną do gwiazd,
i w niejasnej mgle zakrysy
ziemskich baszt.
I sterczący ostrzem spisy
w morzu maszt.
I gdzieś biały za przystanią
żagła znak.
I krzyżący nad otchłanią
jakiś ptak.
I pomiędzy dwu światami
nad wczorajszych dni ucztami
rozlał się już puchar nocy —
namiętności ciemna ciecz.

(„Śnieżna maska“ — „Śniegi“)
przełożył K. A. Jaworski

ZNOWU ŚNIEG

Znowu śnieg i wicher srogi
w białej pustce dmie...
Nad pustynią w niebnym wyżu
drzemią gwiazdy dwie.
Huczą, huczą srebrną rogą.
Nad oparem wody zlej
zamieć kłębi białe krzyże,
rozsypuje śnieżne krzyże
wichrów lej.
A w oddali, a w oddali,
na granicy nieb i ziem
słysząc śmierci śmiech.
A za cnmurą śnieżnych ciem
drzemie okręt w lodów stali
i pancerze masztów trzech
chylą się od swych ciężarów.
W polu huczy śmierci śmiech
trąbi śnieżne larum...
Wiatr oszalał od swych jazd,
kłębi białe krzyże,
grudki srebra toczy...
I obala śnieżne krzyże,
i ucieka w gwiazdne wyże,
i znów patrzy śmierci w oczy
spadającej z gwiazd...

(„Śnieżna maska“ — „Śniegi“).
przełożył K. A. Jaworski.

POD MASKAMI

A pod maską było gwiezdnie:
czyjeś dzieje roześmiane,
noc zbyt prędko chciała zbiec.

I sumienie zadumane
płynąc cicho ponad bezdnią
wiodło czas za sobą przez.

Ręka czyjaś nieprzytomna
kielich brała — drżała dłoń.
Noc schodziła do swych komnat,
by w snu zapaść ton.

Chwile słodko wciąż brzęczały,
i dzwoniło w sercu wino,
i przekornie błysk wesoły
w skrach kryształu drżał.

A na półkach książki spały.
Tam do drzwi za pajęczyną
chłopczyk się przylepił goły
z pękiem ostrych strzał.

(„Snieżna maska“ — „Maski“)
przełożył K. A. Jaworski

BLADE PODANIA

- Popatrz, miła, jak twój duszek
pomknął w dal!
— Popatrz tylko, jak pomyka
szybko czas!

Tak się śmieje maska masce,
maska zła do maski skromnej
mówi tak:

- Popatrz tylko: ciemny rycerz
szuka łaski trzeciej maski...

Ciemny rycerz w jej źrenicach
czyta znak.

Cicho szepce maska masce,
maska zła do maski skromnej...
trzeciej trochę wstyd...

I ciemniejszy na tle okna
ciemny zwięd —
ciemny rycerz... to złudzenie...
i strzelistych ocz płomień
maska kryje w gąszczu rzęs.
Śni się masce, śni się rycerz...
ciemny rycerz — gdzież tu sens.

Baśni szept jej do ucha
i o miecz się wsparł.
Ona w masce słów tych słucha.
A za nimi ciche płąsy
znikających mar...

Jakież ją oblały ponsy!
Jakiż w jej ramionach czar!
A za nimi ciche płąsy
znikających mar...

I na story obok ramy
lśniący złotem
promień z głębi serc wysnuty
cienkim sznurem padł.

I stropiony, zakochany
zlecieć nań już ma ochotę
z obelisku lucznik luty
Amor — swat.

(„Snieżna maska“ — „Maski“
przełożył K. A. Jaworski)

W KĄCIE KANAPY

Już w kominku z wolna ścichał
drewek trzask.

Za okienkiem już zanikał
ogień blask.

I na morzu wśród zawiei
śmierci znak.

Na bezdrożach w mgłach się chwieje
chory ptak.

Wierz mi, wierz mi — na tym świecie
promień zgaś.

Wierz jedynie mnie — poecie
w nocy czas.

Jakie tylko zechcesz barwy
tobie dam,

jakie tylko zechcesz larwy
pójdą w tan.

Cienie sercu twemu miłe
przejdą w snach

i zarysy ich zawile
zginą w mgłach.

I przed tobą każdy skłoni
kolan łuk

i niebieski kwiat uromi
u twych nóg.

(„Śnieżna maska“ — „Maski“)
przełożył K. A. Jaworski

CIE NIE NA ŚCI ANIE

Oto przeszedł król w koronie
lśniącej na łysinie.
Oto płaszcz błazeński płonie,
dźwięk dzwoneczków płynie.

Damy z trenem i z paziami
całe w róży pękach,

rycerz ciemny z łańcuchami
na stalowych rękach.

Do twych kroków by, rycerzu,
raczej miecz pasował!

Pod przyłbicą twą, rycerzu,
czuły wzrok się schował!

Na twym hełmie, ach, rycerzu,
grzebień łśni koguta!

Powiedz, miły mój rycerzu,
po coś przyszedł tutaj?

W nasze bajki się, rycerzu,
lepiej teraz wsłuchaj..

A te róże, mój rycerzu,
mam od swego Jruha.

Róże te, o mój rycerzu,
dał przyjaciel gładki...

Jesteś z bajki sam, rycerzu,
na co tobie kwiatki?

(„Śnieżna maska“ — „Maski“
przełożył K. A. Jaworski

NA ŚNIEŻNYM STOSIE

I wybuchnął stos wysoki
i objęły ognie krzyż.
Obojętne, śnieżnookie
chodzą poprzez wyż.

Chodzą sobie młode noce,
siostry — prądkł śnieżnych zim,
spoglądają bacznie w oczy
i skręcąją biały dym.

I skrzydlatym patrzy okiem
roztkliwiony siwy wyż.
Wij się, ogniu, wij, wysoki,
owiń kołem męki krzyż.

W śnieżnej masce, w masce białej,
płoń, rycerzu, odrzuć szczyt!
Nie śpiewałam? Nie kochałam?
Pocałunków nie dawałam
od wieczora aż po świt?

Bądź miłością mą bezbrzezną,
miły woju, tyś mój mąż,
miły woju, krwią swą śnieżną
byłam wierna tobie wciąż.

Byłam wierna ci trzy noce,
wzywał cię mych ramion spłot,
pozwaliałam patrzeć w oczy,
dałam skrzydeł lekkich lot.

A więc płoń w tych skier zamieci,
a leciutka moja dłoń
popiół lekki twój rozmieście
poprzez śnieżną, białą błoń.

(„Śnieżna maska“ — „Maski“
przełożył K. A. Jaworski

DRWINY

Brwi ołówkiem podkreśliła,
popatrzała, powiedziała:
Nie wiedziałam —
w tobie też uroku siła,
ciemny rycerz, tak!

I z innymi poszła z uśmiechem.
A pod nocy drżącą strzechą
cień posępny znaczył szlak,
dopalały się kryształy.

Cień za cieniem czarowały,
strużki wina zasypiały
i po mału
Świt już zaczął się ocykać:
zapał kur...
i pędziły sanie z krzykiem...

I wróciła do mnie znów,
rzekła: — Ach, rycerzu, co ci?
O czym marzysz tak w tęsknocie,
jakich czekasz słów?
Noc jest głucha.
I jak pieje kur na płocie
noc nie słucha.

(„Snieżna maska“ — „Maski“)
przełożył K. A. Jaworski

JESIENNA MIŁOŚĆ

Gdy w gąszczu mokrych rdzawych liści
Jarzębin owoc już zapłonie, —
Gdy kat rękoma nienawiści
Ostatni gwóźdź mi wbije w dłonie, —

Gdy nad ołowiem wód płaszczyzny,
W wilgotnym, szaro mglistym wyżu,
W obliczu srogiej swej ojezyny
Znów zakolyszę się na krzyżu, —

A wtedy — patrzę w krąg, daleko
Przez lzy, w przedśmiertnej tej godzinie,
I widzę: hen szeroką rzekę
W swym czólnie Chrystus do mnie płynie.

W spojrzeniu Jego — też nadzieja,
Na ciele wiszą też lachmany,
I tak żałośnie z nich bieleją
Dłoń Jego z krwawym kwiatem rany.

O, Chryste! Smutno w mej krainie,
Na krzyżu konam ze słabości,
I czołno Twoje czyż zawinie
Do mej męczeńskiej wysokości?

(„Faina“ 1904—1908)

przełożył Leonard Podhorski-Okoiów

* * *

Przybyła z mrozu,
Zaczerwieniona,
Napełniła pokój
Aromatem perfum i powietrza,
Dźwięcznym głosem
I zupełnie pozbawionym szacunku do pracy
Paplanieniem.
Upuściła natychmiast na podłogę
Szary zeszyt artystycznego czasopisma,
I naraz zaczęło się wydawać,
Że w w moim dużym pokoju
Jest bardzo mało miejsca.

To wszystko było troszkę przykre
I dosyć niedorzeczne.
Wreszcie wyraziła pragnienie,

Ażebym czytał jej na głos Makbeta.
Doszedłszy ledwo do pęcherzy ziemi,
O których nie potrafią mówić bez
[wzruszenia,
Spostrzegłem, że i ona też się niepokoi
I uważnie spogląda przez okno.

Okazało się, że duży, pstry kot
Z wysiłkiem pełznął po skraju dachu,
Czatuując na całujące się gołębie.

Rozgniewała się najbardziej za to,
Że nie my całowaliśmy się, lecz gołębie
I że minęły czasy Paolo i Franczeski.

(„Faina“)

przełożył Seweryn Pollak

NA WYDMACH

Nie lubię pustych słów,
miłosnych słów i nędznych powiedzonek:
„Tyś moja“. „Mój“. „Ach, Kocham cię na wieki“.
Niewola obca mi. I patrzę niculekły
w kobiety oczy, w najpiękniejszą twarz
i mówię jej: „Nadchodzi noc. A jutro —
blyszczący, nowy dzień. Więc przyjdź.
Namiętność święta niechaj nas ogarnie.
A jutro pójdę znów — zaśpiewać pieśń.“

Ma dusza prosta jest. Wichura słona
dalekich mórz i smolny sosny dech
wykarmił ją. W niej są te same znaki,
co i na twarzy mej smaganej wichrem.
I jestem piękny ubogą urodą
falistych wydm i lodowatych mórz.

Myślałem tak u wrót Finlandii błądząc,
wsluchując się w niejasnej mowy szept
zielonookich, niegolonych Finnów.
W krąg cisza trwała. A tuż przy platformie
gotowy pociąg parą obłócił się.
I straż rosyjska pograniczna
odpoczywała na urwisku
na piasku leżąc, gdzie się gubił tor.
Tam się zaczynał inny, nowy kraj —
i na bezdomnej cerkwi kopuł rząd
w nieznaną, obcą patrzył daleczyznę.

Tak rozmyślałem. I oto podeszła
na sklon pagórka i stanęła ona.
Rude jej oczy od słońca i piasku
i włosy smolne jak sosnowy bór
w połyskach sinych na barki się kładły.
Podeszła do mnie. Swój zwierzęcy wzrok
z zwierzęcym moim wzrokiem skrzyżowała
i roześmiała się wysokim śmiechem.
Rzuciła we mnie trawy pęk i piasku
złocistą garść. A potem się zerwała
i poprzez wydmy skacząc mknęła w dal...

Goniłem ją daleko. Podrapałem
twarz swą, igliwem pokrzwawiłem ręce
i płaszcz rozdarłem. Wołałem ją goniąc
jak dzikie zwierzę, znów wołałem krzyżując.
i głos namiętny był jak rogu brzmienie.
A ona lekki zostawiając ślad
na sypkim piasku wydm — zginęła w sosnach,
na które nocy granat już się kładł.

I dysząc ciężko, zmęczony *pogonią*
na piasku też samotny, a w oczach
jej twarz się iskrzy i słyszę jej śmiech:
to włosy śmieją się i śmieją nogi
i suknia śmieje się od pędu wzdęta...
I leżąc myślę: „Oto noc już zeszła
i jutro noc. A stąd nie pójdę wcale,
aż ją zaszczuję niby dzięki zwierzę
i głosem grzmiącym jak rogu wołanie
zagrodzę drogę. I zawołam wtedy:
„Ach, moja moja! I niech mi odpowie:
„Ach, twoja, tak!“

(„Wolne myśli“ 1904—1908)

przełożył K. A. Jaworski

WENECJA

(fragment drugi)

Cisza, chłodny wiatr laguny,
Gondole jak trumienne dna,
Wśród nocy leżę w blasku łuny
U stóp tajemniczego lwa.

Na baszcie północ mi nad głową
Giganty biją, jakby w śnie,
Marek ikonę swą widmową
Utopił w księżycowej mgle.

Poprzez galerię w pół widome,
Lęklwie spozierając w krąg,
Przechodzi, kryjąc się, Salome
Z mą krwawą głową w splocie rąk.

I wszystko śpi — noc bezdechowa,
Tylko widziadła chwiejny krok,
Tylko upiorna moja głowa
Z tęsknotą patrzy z misy w zmrok.

(„Wiersze włoskie“ 1909)

przełożył Kazimierz Wierzyński

FLORENCJA

(dwa pierwsze fragmenty)

1.

Umrzyj, Florencjo wiarołomna,
ukryj się w wieków ciemnym grobie!
O tobie w szczęścia dniach zapomnę,
w dniu śmierci będę nie przy tobie!

O, Bella, czas tve piękno złupił,
Śmiechem upadek własny przysyp!
Spod szninki wieje zapach trupi —
i spotworniały lic zarysy!

Huk samochodu ciszę burzy,
drzemią kamienie szpetnych stropy,
stoisz, bezbronna, w żółtym kurzu
wszystkich gościńców Europy!

A tam, gdzie chadzał Leonardo,
Beato śnił — i mnich surowy
na czarnym stosie skonał hardo,
dziś dzwonki, hałas, gwar rozmowy.

Medyceuszów spokój trwożysz,
pod stopy własne lilie ciskasz,
ale odrodzić się nie możesz
w ulicznym pyle targowiska!

Niech więc te róże na ołtarzach,
tę mszę, co mroczne gmachy święci, —
wszystko, co smuci i przeraża, —
uniesie fala niepamięci!

2

Florencjo, miasto znów i kwiatów,
o tobie-m długo śnił na jawie,
swą miłość okazując światu
w ulicznym wrzasku i kurzawie!

O, jakże słodko wśród irysów
sny beznadziejne zawieruszyć
i w mroku wieków ukolysać
marzenie siwiejącej duszy...

Dziś się żegnamy, ale wszędzie,
gdzie mnie poniesie stopa lotna,
twój wonny irys śnić się będzie,
jak moja młodość niepowrotna.

(„Wiersze włoskie“)

przełożył Józef Łobodowski

ZWIASTOWANIE

Od dzieciństwa widzenia ją nużą!
Mgły nad Umbrią pieszczotliwy ton.
Na opłotkach wybuchają róże
i łagodnie się kołysze dzwon.

Zbyt wesołe przyjaciółek grono,
zbyt zuchwały ich otwarty wzrok,
tylko ona w wieczny krąg wpleciona
wciąż wyszywa coś za rokiem rok.

Niepokoją sny ją niewyśnione,
sny nieśmiałe wiodą w słodki tan.
Nagle czują — czerwone zasłony
ktoś poruszył na pozłocie ścian.

Choć schylona nad jedwabiem ślęczy,
ale wszędzie poprzez powiek płat
wiatr skrzydlaty o kolorach tęczy,
czy sam Anioł przed nią naziem padł...

Anioł z palmą o złocistej twarzy
„Zdrowaś Mario, łaskiś pełna!” rzekł.
Ona drży i spojrzeć się nie waży,
z pleców strumień ciężkich włosów ściekł.

Anioł śpiewa, szepce — bliżej, bliżej,
już jest nad nią — czuje skrzydeł mrok...
I bezsilna spuszcza coraz niżej
ciemniejący, mętniejący wzrok.

Drżąca wierzyć nie śmie, że to ona,
i zasłania ręką piersi pęk...
Przed nią się płomieni dal czerwona —
jakżeż uciec od tych słodkich mąk!..

Wtedy nagle nieznanym bólem
zaślnił twarzy jej świetlany krzew...
A nad nimi — symbol samowoli
gryf Perugii chłepce cielca krew.

Li artysta za zasłoną skryty
przewiduje kwawej męki chrzest
i drży głos: — Profani proculite,
hic amoris locussacer est.

(„Wiersze włoskie“)
przełożył K. A. Jaworski

OGRÓD SŁOWICZY

1.

Twarde skały oskardem kałeczę,
kiedy morze od brzegów odpływa,
potem ciężar kamiennych brył wlecze
zgięty w kablak mój osioł pocziwy.

Doniesiemy do stacji i złożym
już stos nowy do góry się wspina —
i znów wiodą nas nogi ku morzu
i znów osioł mój krzyceć zaczyna.

I tak krzyczy i ryczy radosny,
że beztrojski i lekiki ma powrót,
a przy samej tuż drodze rozkoszny
i cienisty rozłożył się ogród.

Spoza muru, co sad ten okala,
róż piosenkowych zwieszają się kłacie,
niesie śpiewów słowiczych się fala,
coś tam szepcą strumyki i liście.

Osiół zawsze, gdy mija aleję,
głośniej krzyczy przy funtce i czeka,
a w ogrodzie ktoś cicho się śmieje,
i odchodzi, a śpiewa z daleka.

I wsłuchany w ten śpiew niespokojny,
popędzając wciąż osła, — spostrzegam,
że brzeg morza skalisty i znojny
mgła błękitna już zewsząd zalega.

2

Znojny dzień się dopala bez śladu,
nocny zmierzch za krzakami się łęgnie,
a oślisko się dziwi i biada:
— Gospodarzu, gdzie myśl twoja biegnie?

Czy to rozum się mąci z gorąca,
czy rozsiewa swe noc niepokoje
i o duszę wciąż moją potraça —
śni się życie mi moje, nie moje...

Na cóż czekam w tej nędznej izdebce,
smutny nędzarz, wsłuchując się w ciszę,
czemu motyw kuszący wciąż szepcę,
którym w sadzie słowiczym zasłyszał?

Tam nie dotrze jęk życia ponury,
popod ścianą ogrodu się kładzie.
W innym zmierzchu wieczornym za murem
biała postać się snuje po sadzie.

I co wieczór, gdy słońce się stoczy,
popod furtką się cicho przemykam,
ona, lekka, mnie wabi i mroczy,
tęsknie wzywa jej głosu muzyka.

Gdy tak płasem i śpiewem, mnie moją,
coś dziwnego się we mnie znów budzi
i zaczynam tęsknotę już kochać,
niedostępność słowiczych odludzi.

3

Odpoczywa oślisko na piasku,
oskard leży pod skalą rzucony,
a gospodarz w miłosnym potrzasku
przez mgłę nocną się błąka szalony.

I ten znany mi szlak kamienisty,
tajemniczą się stając dziś ścieżką,
znów prowadzi pod ogród cienisty,
który, zda się, w oparach już pierzcha.

I wciąż dłużej w tęsknocie, w niemocy
za godziną się wlecze godzina
i pod rosy ciężarem dziś w nocy
jeszcze niżej rząd róż się ugina.

Kara czeka, czy czeka nagroda,
jeśli zboczę z mej drogi ostrożnej?
A jeżeli do furtki ogrodu
bym zapukał i spytał, czy można?

Trzeba rozbrat mi wziąć już z przeszłością,
nie chcę więcej do pracy już chodzić:
za miłego uznają mnie gościa
— serce czuje — w słowiczym ogrodzie...

4

No i prawdę mi serce mówiło,
i rozpierzchły się precz niepokoje.
Nie pukałem — i tak otworzyła
niedostępne ogrodu podwoje.

Wzdłuż alei cienistej, wśród lilij
zaśpiewały szmerliwe strumyki,
ogłuszyli ptaszki mnie mili
i urzekły mi duszę słowiki.

Obcy kraj nieznajomych rozkoszy
otworzyły jej słodkie oploty
i spadały maneły i brosze
głośniejsz niżli w snach mojej tęsknoty.

I pijany już winem złocistym,
złotym ogniem płonący w bezruchu,
zapomniałem o drodze skalistej
i o biednym, cierpliwym śwym druhu.

5

Chociaż skryła od ziemskich goryczy
ściana, w różach tonąca dokoła, —
jednak morza, co szumi i ryczy,
pieśń słowicza zagłuszyć nie zdoła!

I śpiew mącą niepokój i trwoga —
pieśń — fal bełkot do uszu doniosła...
Wtem — widzenie: ciągnąca się droga
i zmęczony, powolny krok osła...

I we mgie słodkowonnej i znoonej
żarem rąk obejmując me ciało,
pyta, pyta się wciąż niespokojna:
— Co, najdroższy, co tobie się stało?

Lecz wpijając się w tuman sieroco,
chłonąc rozkosz, rozlaną dokoła,
jak gra przypiływ, jak sroży się nocą,
już ma dusza nie słyszeć nie zdoła.

6

Obudziłem się kiedyś zdradziecko,
było mgliście i smutno i wczesnie.
Ona śpi, uśmiechnięta jak dziecko,
pewno ja się przysniłem jej we śnie.

Jakżeż piękna jej twarz w tym półmroku,
błąda w włosów jedwabnej powodzi!..
Po dalekim, miarowym fal kroku
zrozumiałem, że przypiływ nadchodzi.

Wtedy okno niebieskie otworzył,
nnie się zdało, gdy wchłonął woń kwiecica,
że wśród ryku dalekich fal morza
krzyk żaloszny, rozpaczny doleciał.

Ten krzyk osła, smutniejszy nad wszystko,
przeszył bólem mi serce na wylot
i spuściłem firanki brzeg nisko,
by jej snu nie spłoszyła ta chwila.

I spuszczać się z muru nad rankiem,
zakłóciłem róż śpiących dumanie
i ich kolce jak ręce kochanki
uczepiły się mego ubrania.

7

Droga łatwa i dobrze znajoma,
czemuż nogi mi ciężą jak ołów!
Już widnieje wybrzcze to strone,
gdzie pozostał mój dom i kłapouch.

Ale cóż to, czy w oczach się mieni?
Czyli zblądził, czy stroi kto żarty?
Nie, poznaję wszak kształty kamieni
i tę skałę i krzak na niej wsparty...

Gdzież więc chata? I nogą zdrętwiałą,
o rzucony się oskard potykam,
ciężki, rdzawy pod czarną legł skałą,
piasek mokry go prawie zasypał...

Dalej więc — zamachnąwszy się hardo
(albo może wciąż senna to złuda?)
uderzyła żelaznym oskardem
o kamienne dno ręka ma chuda.

Wtedy stamąd, gdzie śpią głowonogi,
w mokrej fali kołysząc się blasku,
nagle drapać się krab jął złowrogi
i siadł sobie przy brzegu na płasku.

Gdym się zbliżył, rozstawił swe kleszcze,
gotów walczyć, najeżył się wściekły,
ale drugi wnet zjawił się jeszcze
i szczepiły się w mig i uciekły....

A ze ścieżki, zmierzonej stokrotnie,
tam, gdzie przedtem ma chata w grunt
wrosła,
zaczął schodzić z oskardem robotnik,
poganiając obcego już osła.

(1915)

przełożył K. A. Jaworski

ALEKSANDER BŁOK

(1880 — 1921)

W 1918 roku, kiedy wielu przedstawicieli rosyjskiej inteligencji wahało się — akceptować czy nie — rewolucję październikową — Aleksander Błok opublikował swój poemat „Dwunastu“.

Z ogromną siłą poetyckiego wyrazu nakreślił w nim obraz rozpadu starego świata. Poeta, entuzjastycznie wita bujny, rzeźwiący wiatr rewolucji.

Poemat „Dwunastu“ jest nie tylko pierwszym większym utworem, poświęconym rewolucji październikowej, ale jest również — ze strony poety dotychczas stojącego z daleka — manifestem wierności, bezkompromisowego akceptu nowej rewolucyjnej prawdy.

Droga twórczości Błoka była skomplikowana. Wszedł on do literatury w ciężkim przedburzowym okresie początku XX wieku, kiedy dojrzewiała w Rosji jej pierwsza rewolucja.

W początkowej fazie swojej twórczości Błok bynajmniej nie był nastawiony rewolucyjnie. Wychowany w szlacheckiej rodzinie „w wonnym zaciszu małego dworku“, odgradzony troską krewnych i wychowawców od kontaktu „z surowym życiem“ młody Błok nie miał żadnych podówczas zainteresowań społecznych i politycznych.

Jako poeta dał się poznać stając w szeregach wybitniejszych przedstawicieli rosyjskiego symbolizmu, kierunku literackiego dalekiego od zagadnień walki społecznej i politycznej, głoszącego hasło „sztuki dla sztuki“.

Pierwsze cykle poetyckie Błoka, jak „Wiersze o Pięknej Pani“ „Radość niespodziana“ i inne, całkowicie odzwierciedlały właściwość poglądu na świat i poetyki symbolistów.

Purpurowe zorze i mgliste świty, ledwie dosłyszalne dźwięki dalekiego śpiewu, drzwi otwierające się na jakiś nowy świat — ponad tym wszystkim zaś jakieś oblicze tajemniczej Dziewicy, „Duszy Świata“, wcielenia „Wiecznej kobiecości“, „Piękna“ — taka jest symbolika i sposób obrazowania pierwocin Błoka.

Czytelników i słuchaczy zdumiewał poetycznością, melodyjnością, zniewalającym pięknem obrazów, ale treść pozostawała niejasna i mętna.

Mimo to poza widmową mglistą symboliką tych wierszy, można było dostrzec niepokojące poecie przecucia nadchodzących burzliwych wydarzeń.

Z biegiem czasu coraz wyraźniej znajdują oddźwięk w poezji Błoka motywy społeczne, z coraz większym wysiłkiem usiłuje on dotrzeć do istoty zachodzących w społeczeństwie przemian.

Człowiek o badawczym umyśle i bezlitosnej szczerości (według określenia Gorkiego) Błok dręczy się swoim oderwaniem od życia, namiętnie szuka w nim dla siebie jakiegoś miejsca. Kiedy zaś wybucha rewolucja 1905 roku, nie tylko kroczy w pierwszych szeregach robotniczego pochodów z czerwonym sztandarem, ale jako poeta staje się wygłosem rewolucyjnego tematu.

Stara się znaleźć w nim rozstrzygnięcie swoich wątpliwości, odgadnąć nowy sens życia. Wiersze, które stają się echem zdarzeń 1905-6 roku, sławią „burzę tych lat“.

Reakcja, która zapanowała po tym okresie, znów odrzuca Błoka w zaklęty krąg męczących wątpliwości, powraca go do bezpłodnego romantyzmu i tragicznej rozpacz. W cyklach wierszy: „Nieznajoma“, „Straszny świat“, „Miasto“ — poeta buntuje się namiętnie przeciw otaczającej go rzeczywistości, przedstawianej w jego utworach we wstrętnych postaciach „tańczących trupów“, „doświadczonych szyderców“ i „pijanie o oczach królików“. Temu straszliwemu światu przeciwstawia obraz pięknej nieznajomej, wcielenia czystości i piękna, których nie ma na świecie, powabnej Śnieżnej Dziewicy, uroczej Carmencity.

Liryczny bohater Błoka szuka zapomnienia w winie i rozpuście, w ciemnym mroku „pieśni cygańskich“, w gęstych oparach uciech zmysłowych.

Jednakże ta ucieczka do romantyki, do obrazów zrodzonych z fantazji, nie może zaspokoić poety, zagłuszyć głosu społecznego sumienia, dążenia do odnalezienia w życiu siebie.

Potrzeba wyjścia z koła wąskich, osobistych przeżyć na szeroką przestrzeń życia społecznego daje znać o sobie z coraz większą siłą.

Coraz wyraźniej uprzytamnia sobie poeta, że jedynie w „zdaniu sobie sprawy z obowiązku, wielkiej odpowiedzialności i więzi z narodem“ artysta może znaleźć siłę, która poprowadzi go tą „jedyną niezastąpioną drogą“.

„Twórczość artystyczna“ — stwierdza Błok — „jest wygósem całej orkiestry, czyli zbiorowej duszy narodu“.

Drogą tą rodzi się w twórczości Błoka nowy temat — temat ojczyzny. W wierszach natchnionych tą nową tematyką wyraził się gorący namiętny pęd do złania swego losu z losami swojego kraju, tkliwa dla niego miłość, wiara w jego przyszłość świetlaną.

W wierszu „Nowa Ameryka“, poeta, tak dawniej daleki od społecznego tematu, teraz pisze o wielopiętrowych kompleksach przemysłowych, fabrycznych kominach, symbolizujących przemiany „pustego stepu“ i odsłaniających „nowe oblicze“ jego ojczyzny.

W niedokończonym poemacie „Odwet“ Błok zbliża się bezpośrednio do tematu rewolucji i zagłady starego świata. Temat ten znalazł swój wyraz w poemacie „Dwunastu“.

Dziecko sfery, oddalony od ludu, niewolnik idealistycznych i romantycznych złudzeń, Błok nie był w stanie zgłębić całkowicie istoty rewolucji. Częściowo przejawilo się to w poemacie „Dwunastu“, dającym jednostronne naświetlenie jej wypadków i ludzi.

Ale zdając sobie sprawę, że rewolucja jest jedyną drogą każdego uczciwego człowieka, Błok gorąco i szczerze wołał do swoich przyjaciół, narodu, ludzkości: „Całym ciałem, całym sercem i pełnią świadomości — bądźcie posłuszni rewolucji!“, groźnym ostrzeżeniem dla tych, kto usiłował odebrać Rosji wolność, zdobytą krwią jej najlepszych synów, zadźwięczały w styczniowe dni 1918 roku strofy „Scytów“, zakończonym apelem do starego świata — po raz ostatni — aby się opamiętał i przymknął do „braterskiej uczty pokoju i pracy“.

Wielki poeta współczesny, Włodzimierz Majakowski, określił twórczość Błoka jako „całą poetycką epokę“. W słowach tych zawarte jest dużo prawdy.

Poprzez symbolikę Błok po odbyciu długiej i skomplikowanej poetyckiej drogi przyszedł do realizmu, do najlepszych tradycji rosyjskiej literatury, w ogromnym stopniu wzbogacając poezję tym wszystkim, co dała mu intensywna praca w poszukiwaniu nowych środków wyrazu.

Trudno byłoby znaleźć współczesnego rosyjskiego poetę, który by w większym lub mniejszym stopniu nie ulegał wpływowi Błoka. Zdumiewająca dźwięczność i muzyczność wiersza, bogactwo rytmiki, niezwykłość metafory, wszystko to, zespolone ze szczerością i głębią uczucia, daje poezji Błoka siłę i czar, które przyniosły mu zasłużoną sławę.

N. KALITIN

DZIEWIĘCSET PIĄTY

Ziemiaństwo dogorywało. Sędziwe drzewa parkowe, rozległe, na pół zdziczałe kwietniki i dzikie wino, oplatające drewniane werandy i ganki odwiecznych gniazd dziedzickich, płonęły jaskrawymi barwami jesieni.

Na glebie użyźnianej pracą dziesiątków pokoleń, na gruncie wielowiekowej feudalnej szlacheckiej kultury, jako zamknięcie wielkiego kulturalnego i społecznego cyklu, jako jego szczytowy wykwit wierzchołek i kres, rosło i kwitło to ostatnie — olśniewająco bogate, lecz już chorobliwie wypaczone, niosące na sobie i w sobie piętno zagłady — pokolenie ziemiańskie, cheiwie wchłaniając i z gestem skazanego na śmierć magnata, jakby w pełni świadomości swego końca, trwoniąc i marnotrawiąc resztki życiodajnych soków, pozostawionych mu przez przodków. Bo z nieubłaganą, rzekłbyś: fatalistyczną, siłą to poczucie nieodwołalnego końca przenikało do najbardziej zacisznych i pogodnych dworów. Lecz w atmosferze zachowanego jeszcze dobrobytu, w miękkiej mgławicy przedzgonnej euforii, przytłumiającej zgrozę nadciągającego kataklizmu, z dala od zgiełku trwożliwego, gorączkowego życia wielkiego miasta i wielkich rozdroży, czy bezdroży współczesności, świadomość ta budziła jedynie nastroje melancholijnej rezygnacji, paseistycznego poddania się wyrokowi losu i — pełne abnegacji sycenie się pięknem starego, odchodzącego świata — pięknem, które znużonym, sennym oczom wydawało się już jakąś nierealną fatą morgana... Zresztą kto wie, czy ten najbliższy kataklizm rzeczywiście jest tak potworny? czy gdzieś z oddali nie nadciąga coś jeszcze straszliwszego? kto wie, czy ten najbliższy „kataklizm“ nie okaże się w swej istocie ocaleniem, nie wyrośnię niezdołym przedmurzem przeciw tamtemu kataklizmowi — ze wszystkich najpotworniejszemu?

Ale myśl szukała innej jeszcze, głębszej pociechy. Myśl artysty, marzyciela (a któż z nich wówczas nie marzył?...), poety...: czy wszystko stracone? Wroga, obca rzeczywistość milczała posępnie, potakująco. A więc odrzucić ją, odwrócić się od niej ze wzgardą, zatrzeć niepojęte już, niepoznawalne w swej obcości, nieprzystępne i — nienawistne kontury otaczającej, napierającej rzeczywistości, rozbić ją na milion atomów i te jej atomy, odłamki, odpryski i resztki—relikwie! — odchodzącego dawnego świata całkowicie i n a c z e j, n a n o w o, przeświecić promieniami uduchowionego spojrzenia, przejrzeć ją nawskroś, zdemaskować jej ulude, przez którą, prześwieca coś, co już uludą nie jest: za przyziemnym, koszmarnym bytem, poza rozkładem i upadkiem wykryć inną, p r a w d z i w ą rzeczywistość. Tajemne jej

znaki odczytywać z płatków róży, z grzmotu wodospadu, z głosu ptaka. Tworzyć dwoiste piękno — piękno ziemskie, mówiące o niezemskim, pod dotykalną maską zmysłowego piękna dawać piękno pozazmysłowe, duchowe. Być harfą lkającą w bólu i tęsknocie za Niecielesnym, które się kiedyś ucieleśni. Opowiadać o Nadchodzącym. Zwiatować. Oczekiwać. Poprzez osnuwające horyzont chmury wskazywać promień Nowego Świtu, w wychodzącej od ślubu panience ujrzeć Oblubienicę i Nieznaną, i nad jej złotowłosą, wesołą głowinką zobaczyć Gwiazdę. Łodzią o cichym zachodzie na senny wypłynąć staw — przy szmerze trzciny szepczących o Niepojętym, w świetle świecy, której płomieniem wiew nocny kołysze, do jasnego świtu: Apokalipsę z wtajemniczonym Bratem czytać, by potem rankiem szukać po ogrodzie relikwii — białych dzwoneczków przesadzonych przed rokiem przez wiernego Ucznia z ogrodu zgasłego filozofa, poety, mistyka, symbolisty — Władimira Sołowiowa. W Wienczysławowej petersburskiej „baszcie“ — w olbrzymim magnackim mieszkaniu Wiaczesława Iwanowa, pełnym najrozmaitszych kształtów pokojów i pokoików, zacisznych kryjówek, zakonspirowanych zakamarków, przejść zawieszonych kotarami, z przepychem urządzonych, pełnych szaf z księgami, komnat, w których Bóg wie, jakie odbywały się misteria — po wykwintnej trapezie w nieprzeliczonym tłumie gości, rozsiadłszy się na miękkich fotelach, lub wprost na puszystym dywanie, w półmroku, przy złotawym blasku świec, tkwiących w starożytnych kandelabrach: wysłuchać mistrzowsko wygłoszonego referatu pana domu o Powracającym Dionizosie, potem długo, długo dysputować — o odczycie, o Wilde'zie lub Nietzsche, potem podziwiać poetę Kuźmina, który akompaniując sobie na fortepianie, odśpiewa swe pieśniedzi, subtelne wiersze o krzykach i śmiechu kąpiących się kobiet, o świętych pawiach w świątyni Junony, o miłości Cyprydy do Adonisa, o beztroskim życiu dawnej Aleksandrii... potem — znów dysputować, prowadzić nieskończone rozmowy — o Sztuce, Bóstwie, Dionizosie, Wilde'zie — aż wreszcie wczesnym rześkim rankiem zabrać się do domu: wylec wrzaskliwą czeredą na cichą ulicę i — zdumieć stróżów, zamiatających już jezdnię, przestraszyć baby roznoszące w blaszankach mleko, zgorszyć śpieszących do fabryk robotników... Następną noc spędzić u Mieriezkowskich nad pogłębianiem myśli religijnej. W przerwie — napisać mętny, pusty artykuł i wiersz — mistrzowski, opalizujący i skrzący się i dźwięczny jak złoto najwyższej próby. I znów zejść się w gronie współwyznawców, dociekać Prawdy, rozpoznawać Znaki, z ramienia jednej z Sióstr — Wtajemniczonych usaczyć krwi nieco, zmieszać z winem: w poblaskach pełgających płomyków wychylić krużę — taki był ten rosyjski symbolizm.

Ziemiaństwo dogorywało. Rozkładało się, niszczało powoli, bez wielkich wstrząsów, pod uporczywym lecz ospałym naporem nowej klasy — burżuazji, która to burżuazja rosyjska — przychodziła na świat dziwnie zapóźniona i — chyba jak żadna inna — apatyczna, zgnuśniała, niedokrwista, znużona, z miejsca już czująca wymykanie się gruntu spod niepewnych nóg, z miejsca już przerażona widmami coraz częściej, ponad wszelką oczywistość i kalkulację częściej wylaniającymi się z mroku lodowatych, zapleśniałych piwnic, ciemnych gruzliczych suterren, cuchnących kapustą, matłoczonych robotniczych izb.

W tej sytuacji burżuazja odnosiła się do ziemiaństwa nad wyraz łagodnie, mieszała się z nią, wchłaniała w siebie jej przedstawicieli i sama potrosze ulegała wchłonięciu. Wielki przemysłowiec wchodził do ziemiańskiej rodziny, zamieszkiwał we dworze — obszarnik zostawał fabrykantem. Przenikały się nawzajem ideologie — kultura, sztuka — obu klas. Kulturalnie bezpłodna burżuazja pasożytowała na wspaniałym dorobku mieszczaństwa i wsączała do niego elementy własnej wyjąłowiej kultury. Tę obustronną ośmozę znakomicie ułatwi i przyspieszy współdzwźwięczność obu ideologii: ich schyłkowość, eschatologizm... Odwrócenie się od rzeczywistości, zacieranie jej konturów, dekonkretyzacja jej i symbolistyczne „wyjaśnianie“ były cechą tak sztuki ziemiaństwa jak i mieszczaństwa. Tylko, że mało twórcza kulturalnie, a jeszcze o wiele bardziej żywotna, zapobiegliwa, obrotna od ziemiaństwa pod względem politycznym, społecznym, burżuazja miała swój własny ideał i symbol: zamiast Zaświatów, Gwiazdy i Jutrzni — luna elektrycznych lamp nad potężnym przemysłowym miastem. Czołowym przedstawicielem tej ideologii artystycznej, genialnym apologetą i piewcą przemysłowego miasta — symbolu stanie się największy poeta rosyjskiej burżuazji — Walerij Briusow, wnoszący do poezji ciężkie, chrapliwe rytmy maszyn fabrycznych, neurastenię sygnałów samochodowych i wzgardliwym uśmiechem pobłażliwej ironii darzący twory symbolistycznej muzy dworu.

Ziemiaństwo dogorywało. Lecz rząd wciąż jeszcze opierał się na tych sferach ziemiańskich, wciąż jeszcze stosował przestarzały, średniowieczny mechanizm rządzenia, stworzony przez tracący wszelkie polityczno-ekonomiczne znaczenie feudalizm, niechętnie, a nawet wręcz wrogo odnosząc się do burżuazji, która się umacniała w coraz bezwzględniejszej opozycji. Niepowodzenia ekonomiczno-polityczne rządu, a wreszcie niefortunna imperialistyczna eskapada na Wschód—

podniecały wrzenie. Opozycjonizowało, liberalizowało mieszczaństwo, i pełne opozycji były sfery mieszczańskiego odłamu symbolistów. Oczywiście nie w stosunku do swych kolegów z ziemiańskiego skrzydła: tych się po prostu nie rozumiało, a nawet tylko: nie zachwycono się nimi, ironizowało się pod ich adresem — czasem niewinna polemika na tematy literackie — poeci spod znaku Gwiazdy i Oblubienicy odplacali na ogół tym samym.

Ostrze opozycji skierowało się bezpośrednio przeciw rządowi, który oskarżono o karygodne niedołęstwo, domagano się zmiany systemu rządzenia — podnoszono niezbyt zresztą doniosły, niepewny, nieco drżący głos protestu. Atakowano i przybudówki rządowe—organ najczarniejszej reakcji, wielkiego obszarnictwa, arystokracji dworskiej, ulicznej chuliganerii i najwyższych dostojników — czarnosotienne, pogromowe „Nowoe Wremia“, którego współpracowników obie zresztą strony—i w ogóle cała nie ze szczętem spodłafa inteligencja bojkotowała, brzydziła się, nie wpuszczała za próg swych domów i nie podawała ręki. A gazeta lała pomyje na „dekadentów“, szczuła, denuncjowała — ku cichej aprobacie władz, które ze swej strony też nie pieściły się malkontentami, szykanowały ich, konfiskowały, rewidowały, więziły nawet. I w symbolicznych salonach społecznikowano wciąż goręcej, wciąż zawzięciej konferowano, konspirowano, wymieniano między sobą odpisy niecenzuralnych wierszy. Na tłumnych, filozoficzno-religijno-społeczno literackich cercle'ach u Mierieżkowskich stwierdzono, że w imię najświętszych ideałów duszy rosyjskiej, dla dobra myśli religijnej, no i w ogóle—raz już trzeba położyć temu wszystkiemu kres: puszczając wonne obłoczki dymu z papierosa, niedbale wtulona w róg przytulnej kanapki, z narzuconym na arystokratyczne wąskie ramiona bezcennym szalem, pani domu, mądra wyrafinowana poetessa — Zinaï da Gippius — z lekkim zniecierpliwieniem czekała na rewolucję. Taki był ten rosyjski symbolizm.

* * *

Taki on był do pamiętnego dziewięćset piątego roku, kiedy wykwintna, wyrafinowana poetessa, Zinaïda Gippius-Mierieżkowskaja, poczuła, że z jej zdrewniałych ze zgrozy, wypielęgowanych rąk, wysuwają się wodze „rewolucji“, że „na czele“, zamiast ruchliwej figurki małżonka, zjawił się szczerzący szczeniaste wąsy dobrodusznego morsa, plebejski i ordynarny awanturnik, niebezpieczny bosiak, któremu zawsze obca była sprawa pogłębiania myśli religijnej — Maksim Gorkij, a za nim, w takt nieharmonijnych i zgola chamskich rymów jego „Buriewiestnika“ — „Zwiastuna Burzy“ — pełźnie, napiera ciemny, odrażający i jakże serdecznie, jakże głęboko już od pierwszych chwil znieawidzony motłoch: tłum widm wyległych z mroku lodowa-

tych, pokrytych pleśnią piwnic, ciemnych gruźliczych suterren, cuchnących kapustą, natłoczonych robotniczych izb — nie Buriewiestnik już, lecz sama burza, kataklizm — ze wszystkich najpotworniejszy!

Ale jeszcze zdążono na czas, i o granit ulic Petersburga chlasnęły kule. Na wyspie Bieriezani stracono Szmidta. Porządek został przywrócony. Czując konieczność natychmiastowych reform, przerażony rząd zrobił nagły zwrot, burżuazja otrzymała szereg przywilejów i — zaspokojona — wywiesiła sztandar rentownej pracy powszedniego dnia, a pomna na świeżo przebyte wspólne niebezpieczeństwo, jeszcze ściślej spłotła się z ziemiaństwem wieczystymi śluby. Tak dokonywały się w społeczeństwie gwałtowne i głębokie przesunięcia. Ziemiaństwo zatracalo poczucie swej odrębności, odosobnienia, mieszczaństwo swą opozycyjność. Tworzył się złożony koncentryczny konglomerat — w jego centrum rząd. W towarzystwie zjawiali się ludzie „Nowawo Wriemieni“: redaktor Burienin, absurdalnie łączący w sobie niecodzienną mądrość i niecodzienny cynizm Rozanow. Nauczeni smutnym doświadczeniem, jak niebezpieczna jest gra w rewolucję, inteligenci, literaci — symboliści wyzbywają się zwolna swych zainteresowań społecznych, chłodną ze swego radykalizmu. „Myśl religijna“, mistyka pochłania ich coraz bardziej. Estetyka. Powolny powrót do — przyozdobionej oczywiście — rzeczywistości. Eros. Tajemnice i sekrety erotyki przeplatają się, ba, konkurują z mistyką. A wreszcie sztuka — rzemiosło poetyckie! Ileż fascynujących problemów.

W dawnej swej „baszcie“, a później w obszernym wykwiutnym apartamencie arystokratycznego „Apollina“, w „Towarzystwie Zgłębiania Artystycznego Słowa“, recte w „Akademii Poetyckiej“ — przygotowując grunt dla formalistów, mających przyjść wraz z futuryzmem, Wienczysław Iwanow rozwijał swą teorię rosyjskiego wiersza, Faddiej Franczewicz Zielinskij wykładał o rosyjskich transpozycjach metrów antycznych, na wielkiej szkolnej tablicy rysował swe pomysłów wykresy jambu Andriej Biełyj... Słuchał łaskawie sam pan redaktor, nachalny elegant, snobek nad snobki — „papa Maco“, Siergiej Makowski. Słuchał aleksandryjski słowik, jeszcze pół nagiej, a już na pół gołej muzy piewca (jegoż to czasy nastały!) — Kuźmin. Przysłuchiwali się „młodzi“: Gorodieckij, Mandielsztan, Achmatowa — radykalni reformatorzy symbolizmu: za rok, za dwa na arenę literacką wystąpi utwierdzający radość życia sielankowo-erotyczny klaryzm i wślad za nim elastyczny jak krok marszu akmeizm, onże adamizm, który znaczy: męskie i jasne spojrzenie na życie, i do wtóru orkiestrom wojskowym krzepnącego po szczęśliwych reformach Imperium Wsiej Rusi uderzy w werbel drapieżny konkwistador, rosyjski Kipling i d'Annunzio — Nikołaj Gumiliow.

Nie dla wszystkich dostosowywanie się, wmontowywanie w nowy układ społeczny było rzeczą łatwą i bezbolesną. Społeczeństwo uległo wielokrotnemu rozszczępieniu. Wielu uczuciowo bardziej zaangażowanych w dawną atmosferę zajęcia nowych pozycji odczuło jako głęboko tragiczne rozdarcie wewnętrzne. Niesmak, zgryzotę spotęgowała jeszcze coraz czarniejsza reakcja, coraz bezwzględniejszy terror rządu, a nade wszystko — policzkująca świadomość istnienia innej jeszcze Rosji — podziemnej: tej, która po klęsce ani chwili nie zachwiała się i niepomna na prześladowania, areszty, zwierżące bicie, zesłania, szantaże, prowokacje szła dalej wytkniętą przez siebie drogą. Zresztą i ci także mieli poczucie połowiczności osiągniętych „reform“: burżuazja wyciągnęła z rewolucji jedynie tylko pewne korzyści gospodarcze, politycznie nadal pozostając na uboczu. I gorzkie już się zdawały jej owoce. I na dnie rosyjskiej inteligenckiej duszy narastał trujący osad, i czał się po jej kątach cichy obłęd Leonida Andriejewa.

„Symbolizm“ nie tylko się przekształcał (cóż zostało z jego dawnych przedrewolucyjnych czasów?), ale i zniekształcał się — degenerował, zarażając rozkładem nawet tych, którzy mu szli na spotkanie z różdżką odrodzenia. Więc mimo, że w czasie posiedzeń Akademii Poetyckiej brodaci, solidni członkowie redakcji „Miejskich Interesów“ przystawali w drzwiach (lokal „Apollina“ był przechodni), spoglądając z przychylną wyrozumiałością na tych tu dziwaków, a nawet, ba! — zaczęli się rozsmakowywać w słodyczach ich poezji, darząc ją łaskawie coraz większą popularnością, mimo to jej ezoteryczny erotyzm przeradzał się w pornograficzną patologię, w wyrafinowaną perwersję, w skrycie wyuzdaną lubieżność Fiodora Sołoguba, myśl religijna małżonków Mierieżkowskich staczała się w otchłań szarlatanerii mediumizmu, i na seansach Jana Guzika wykwintne nerwowe dłonie estetów łączyły się w spirytystycznym kręgu z łapami opasłych burżujek i obleśnych lokajów. Nadciągały mroki Hermogienowych hec, szalał wściekły pies Illiodor, nad stolicą, nad państwem — nad Rosją rozrastał się potworny cień Rasputina. I po kątach rosyjskiej inteligenckiej duszy czał się cichy obłęd Leonida Andriejewa.

Tak zatrutymi wyziewami płytko kopanych, pośpiesznie zarównanych mógł mścić się za siebie zdradzony, zduszony, zakatowany dziewięćset piąty roku. I tylko gdzieś jasne przenikliwe spojrzenie lysiejącego pana z bródką, i tylko gdzieś niewiadomo gdzie... niebezpieczny bosiak, szczerzący szczerzinowate wąsy dobrodusznego morsa, i gdzieś pod ziemią, niewiadomo gdzie — wszędzie... w wielkiej tajemnicy, ostatkiem już chyba tchu rozdmuchiwany nowy ogień — i czarną kamienną chmurą, niemym krzykiem pogardy i rozpaczony stał nad strasznym swym światem śmiertelnie ranny w samo serce Błok.

Franciszek Siedlecki

(„Skamander“ I—III (1937, zes. 78—80)

DO MUZY

W twym tajemnym jest śpiewie fatalna
wieść, że zguba nadejdzie i kres.
Jest przekleństwo obietnic sakralnych,
świętokradztwo dla szczęścia i łez.

Taki urok przemawia i siła,
ze pospólstwa rozumiem już gniew:
tyś podobno aniołów gubiła,
których zwodził kuszący twój śpiew.

I nad tobą, gdy śmiejesz się z wiary,
ponad splotem zapala się rąk,
ten niejasny, szkarłatny i szary
gdzieś przeze mnie widziany już krąg.

Zła czy dobra? — Nie z tegoś ty świata.
Co wyczytać na czole z twych fałd:
tyś dla innych i muzy i kwiatem.
Dla mnieś piekło, męczarnia i gwałt.

Nie wiem czemu, gdy świt się już żarzył
i bez sił mnie powitać miał brzask,
zamiast zginąć — twą-m twarz zauważył
i zebrałem pociechy twych łask?

Chciałem, byśmy zostali wrogami,
a więc skądże królewski twój dar —
sad z kwiatami i niebo z gwiazdami,
twojej urody przekleństwo i żar?

I od nocy polarnej zuchwalsze,
upojniejsze niż złote Ai
i nad miłość cygańską nietrwalsze
twoje pieszczoty tonące we łtwi...

Było ulgą czynić ci zadość,
tym, co święte, pomiatać i kluć
i szaleństwo dla serca i radość —
ta namiętność twoja gorzka jak żółć.

(„Straszny świat“ 1909—1916)
przekłóżył K. A. Jaworski

* * *

Skroś krzątanie monotonną,
wielkiego miasta gwar i huk
odchodzę z duszą swoją płoną
w mrok, kędy zamieć dmie w swój róg.

Nie świadomości wszelkiej tracę
i zapominam jak i co...
tramwaje, gmachy, śnieżne place
i ognie z dala poza mgłą.

Co jeśli potem urzeczony,
na pół przytomny, na pół w śnie,
powrócę znów upokorzony,
czy zdołasz ty przebaczyć mnie?

Ty, co znasz wszystkie drogowaskazy
wiodące ku wyżynom krok,
czy mi przebaczysz bez urazy
mą zamieć, wiersze, czad i mrok?

Czy lepiej może: moje dzwony
nie przebacząc wprawiać w ruch,
by w nocnym wicherze rozśnieżonym
nie zginął o mnie wszelki słuch?

(„Straszny świat“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

„Tam człowiek spłonął“.
A. Fet.

Jak ciężko pośród ludzi gościć,
upadek swój przed nimi skrywać
i grę tragicznej namiętności
tym, co nie żyli, pokazywać.

I w straszną noc swą patrząc twarzą bladą
znajdować ład w bezładnym uczuć trudzie,
by z luny sztuki mogli poznać ludzkie
życiowy pożar, życiową zagładę.

(„Straszny świat“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Z kryształowych snów zamieci,
z niewidzialnych jakichś mgieł
czyjaś postać w oczach wschodzi...
(w restauracji, w gabinecie
przy dzwonienu z winem szkieł).

Śpiew cygański nicustanny
dolatuje z dalszych sal,
z dala skrzypiec jęk zawodzi...
wchodzi wicher, wchodzi panna
w zwierciadlanej głębi dał.

Wzrok we wzroku — i już siny
przestwór się nade mną pnie.
Magdalena! Magdalena!
Wieje wicher od pustyni,
w buchający ogień dmie.

Smukły kielich twój. Na dworze
bije zamieć w okien szkło —
marna życia tego cena!
Letz za wichrem — słońce gorze
i południa jasne tło!

Rozwiązanie wszelkiej męki,
wszelkich nagan, pochwał klucz
i uśmiechów krwawej łuny
i błagalnych ruchów ręki, —
życie me jak kielich stłucz!

By na łożu długiej nocy
nie starczyło żądzy sił,
by w pustynnym jęku struny
przeleknione nasze oczy
zgasił mroczny śmierci pył.

(„Straszny świat“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Za globem glob, za rokiem rok się toczy,
i pustką patrzy w nas wszechświat ponury.
A ty zmęczone wypatrując oczy
o szczęściu mówisz duszo, po raz który?

Cóż szczęściem jest? Wieczorny wiatru pościg
w ogrodzie ciemnym albo w leśnej guszy?
Czy może mroczne, grzeszne namiętności,
kobiety, wino i zagłada duszy?

Cóż szczęściem jest? Ten chyba mig przelotny,
gdy spłynie sen i ujdiesz już zgryzocie...
Lecz ockniesz się i porwyw znów powrotny
ciśnie twe serce w oszalałym miocie...

Westchniesz i myślisz — już jest po zamęcie...
W tej samej chwili coś cię z łózka dźwiga!
Puszczony skądś błąk się wściekły kręci
i nagli, śpieszy potępieńcza fryga!

Trzymasz się śliskiej i ostrej krawędzi
w to uprzykrzone wsłuchany huczenie, — — —
jak nie oszaleć w rozwichrzonym pędzie
zmyślonych przyczyn, czasów i przestrzeni?

Kiedyż więc koniec? Wciąż natrętne dźwięki
i sił nie starczy już się w nie wsłuchiwać...
Jak straszne wszystko! Podaj, druhu, rękę...
będziemy razem niepamięci wzywać.

(„Straszny świat“)

Przełożył K. A. Jaworski

TANIEC ŚMIERCI

1.

Jak źle trupowi między żywych iść
kiedy namiętność trzeba wciąż udawać!
Lecz musi, musi z ludźmi się zadawać
i dla kariery swe piszczele kryć...

Żyjący śpią. Trup trumnę swą otwiera,
do sądu idzie lub odwiedza bank...
Im bielsza noc, tym złość w nim bardziej
wzbiera
i triumfalny jego pióra tan.

Trup nad raportem cały dzień prześlęczy.
Lecz koniec zajęć. Więc od nudnych kart
odchodząc już przymilnie zadem kręci
senatorowi szepcząc thusty żart.

Już wieczór. Deszczyk, mokry wicher wieje
i lepkie błoto do kaloszy lgnie.
A trup po inne błazeństwa z kolei
w taksówce lśniącej przez ulicę mknie.

Do ludnej sali, jasno oświetlonej,
trup śpieszy teraz. Na nim modny frak.
Gospodarz - dureń i kretyńka żona
ślą mu z daleka zyczliwość znać.

Odpocząć rad by po biurowej męce,
a tu orkiestra nagli kruchą kość.
On mocno ścisła przyjacielskie ręce,
wszak muszą wierzyć, że to żywy gość!

Tylko pod słupem jego wzrok napotka
miłą, co z grobu wyszła jak i on,
a ich rozmowa banalna i słodka
ma tylko dla nich zrozumiały ton.

— Znużony druhu, dziwnie mi w tejsali.
— Znużony druhu, w grobie zimny sen.
— Zbliża się północ. — Ale idź już dalej.
Proś ją do walca. Kocha cię N. N...

A tam N. N. go wzrokiem lśniącym parzy.
Czeka na niego. Gra jej młoda krew...
A w pięknej jej, dziewiczo-pięknej twarzy
bezmąsny czytasz namiętności zew...

On blahe szepce jej do ucha słówka,
w których dla żywych taki urok jest,
i widzi: oto chyli się jej główka,
wymowny ramion jej różowych gest...

I z nietutejszą wciąż roztacza złością
światowej złości przejmujący jad...
— Jaki jest mądry! Widzi we mnie świat! —

I w uszy jej chrzęst nagle wpadł:
to kości tłuką tak o kości.

przełożył K. A. Jaworski

2.

Ulica, latarni rząd, apteka
Bezmyślny blask, na rowie lód.
Ćwierć wieku żyj, a nie doczekasz —
Nie będzie zmian. Nie przyjdzie cud.

A umrzesz — zaczniesz znów na nowo,
I wszystko się powtórzy znów:
Apteka, latarni rząd gazowych,
Lodowej wody pełen rów.

przełożył Seweryn Pollak

3

Zaulek pusty. Jedno światło w oknie.
Aptekarz-Żyd we śnie od potu moknie.

A tam przed szafką z napisem Venena
na kolanach skrzypiących w ampułkach przebiera

plaszczem ciemnym po oczy owinięty szkielec
i usta swe w uśmiechu szczerzy zębów białą...

Już znaleźli... Lecz niechcący flaszką brzęknął.
Odwrócił czaszkę... A aptekarz jęknął,

podniósł głowę i zaraz potem chrapać począł.
A gość tymczasem ampułkę wyroczną

spod płaszcza wsuwa w ręce dwóch kobiet beznosych.
Latarnia rzuca na to blask z ukosa.

przełożył K. A. Jaworski

4.

Dawny sen. Zza mgieł zasłony
Biegną światła — gdzie — promienie.
Tam — to woda czarna w cieniu,
Tam — na zawsze zapomnienie.

Spoza rogu przywidzenie
Z drugim się spotyka cieniem.
Biały gors, wiatr płaszczem żenie,
W butonierce kwiat czerwony.

Drugi cień — czy piękny rycerz,
Czy od ślubu to dziewica?
Hełm z piórami. Bez oblicza.
Trupi beznuch. Tajemnica.

Głośno brzęknął dzwonek w bramie,
Głucho szczeka stary zamek,
Przez próg idą ramię w ramię
Z rozpustnikiem ladacznica.

Wyje wichur przejmujący,
Pusto, ciemno. Światła biedną.
W górze płonie okno jedno.
Wszystko jedno.

W czarnej wodzie — czarne cienie.
W niej — na zawsze zapomnienie.
Dokąd, trzecie przywidzenie,
Z cienia w cień przemykające?

5.

Znowu bogacz rad i zły,
Biedak w wzgardzie znowu.
Z dachów kamienistych brył
Patrzy miesiąc płowy.

Ciszę zsyła. W górze legł
I zaznacza stromy brzeg
Gzymsów, ścian z kamieni,
Cienie, czerń podcieni.

Na nic by to było, lecz
Aby prawa wiernie strzec,
Car pilnuje tronu.

Pałac znaleźć — próżny trud...
Dobroduszną twarz u wrót...
I złotą koronę

Z pustki, gdzieś z dalekich stron
W latarnianym świetle — on
Ukazuje się.

Owinięta szyja w szmat,
Pod dziurawym daszkiem rad
Podśmiewuje się.

(„Straszny świat“)
Przełożył Seweryn Pollak

* * *

Jak dawniej teraz także chciała
tchnąć znów ożywym mnie oddechem,
by ogrzać me zniekane ciało,
by wpuścić ciepło pod mą strzechę.

Niebiańskim zeszła do mnie stworem,
a ja nie mogłem z powitanem
wyciągnąć do niej ręki chorej,
ni rzec, jak tu tęskniłem za nią..

Przez mgłę chłonałem ją oczami,
z jak smutnym patrzy się wyrazem!
I już nie było między nami
ni słów, ni szczęścia, ni urazy...

Ach, ziemskie serce się zmęczyło —
lat tyle, tyle dni szalonych...
Ach, ziemskie szczęście się spóźniło
na trójce koni swych spienionych!

Śmiertelnie chory, czekam końca,
nad sobą inne czuję tchnienie
i cieszę się zachodem słońca
nie bojąc się idących cieni.

Bo wieczność mi zajrzała w oczy
nad sercem mym się chyłąc nisko
i chłodna wilgoć sinej nocy
załala wzruszeń już ognisko.

(„Odwet“ 1908—1913)
przełożył K. A. Jaworski

* * * *

Nie pamiętam już dzisiaj, co mięło wczoraj,
w poranki zapominam o swoich wieczorach,
w biały dzień zapominam o snach,
w ciemną noc zapominam o dniach.

Lecz wszystkie dnie i nocy znów do nas przy-
płyną
przed śmiercią uroczystą godziną.

Wtedy w dusznej już mgłę, gdy ci ciasno i źle
zbyt bolesna jest myśl,
że urywa się nić —
silisz wzrok,
chciałbyś żyć —
i mrok.

(„Odwet“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Noc jak noc — i na ulicy pusto.
Noc jak wszystkie inne!
I dla kogóż miałaś dumne usta,
dumne i niewinne?

Tylko mokra mgła wciąż z gzymsów rosi;
zły i zniechęcony,
pragnę cisnąć gniew i protest głosić
przed niebieskim tronem.

Wszyscy wiedzą, wszyscy wiedzą — szczęście
wszędzie, ale nie tu.
Wyciągają nieraz groźnie pięści
w stronę pistoletu.

I znów z śmiechem, z płaczem na szczyt
taczki życia pchają! — [stromy
Dzień jak dzień, wszak wynik jest wiadomy:
w s z y s c y u m i e r a j ą .

(„Odwet“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Kiedy wstępując w świat niezmierny
na próżno szukasz jedni w krąg
lub kiedy w kąt spoglądasz ciemny,
czy tam nie zabrzmiał śmierci gong;

gdysź zły, palony żądzy dreszczem,
smutny — lub chory musisz lec, —
o, wierz mi, wtedy możesz jeszcze,
żeś jest szczęśliwy, dumnie rzec!

Lecz gdy twej duszy nic nie trąca,
gdysź głuchy na miłości zew,
gdy twe marzenia plami krew
nie młoda już i nie kipiąca, —

wtedy nad tobą zawisł mrok:
Śmierć nie możliwa bez udręki,
a życie, które nie zna męki,
nie idzie, tylko zwalnia krok.

(„Odwet“)

przełożył K. A. Jaworski

* * *

Samotny siedzisz w swym pokoju.
Czy słyszysz?
Wiem, że nie zaznasz już spokoju...
Ledwo oddychasz w ciszy.

Czemu za drzwiami światło zgasło ?
I cóż cię trwoży?
Przychodzę na znajome hasło,
stukam — otworzyć!

Wiem, że gorączka twarz ci parzy,
o, druhu buntowniczy!
Ja wszystko jedno drzwi wywałam
i skargi twe policzę.

Nie lękaj się wspominać o mnie:
byłeś tak młody...
Tyś na białego wskoczył konia,
w twarz ci jesienne były chłody.

Tyś pocwałował gołoledzią
w zachodu bursztyn lity!
O, lekkomyślny, zaliś wiedział,
jak wrócisz tu rozbity?

Dzisiaj zmądrzałeś: bądźże szczerzy —
cóż ci po sporze?
A czy pamiętasz miłość pierwszą
i zorze ,zorce, zorce?

Czemu policzki w łzach ci mokną
i spuszczasz twarz tak nisko?
Pociesz się, wicher tam za oknem
to trąby śmierci bliskiej.

Odpowiedz jeszcze na pytanie:
czyś z życia dumny?
Królewski zaraz dar dostaniesz:
całun na trumnę.

(„Odwet“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Im bardziej sprzyjasz ciszy, snom,
tym większy ból, tym większy ból —
wilgotna mgła wypelza z pól,
wilgotna mgła w pierś wpelza twą,
o, nocy, usnąć zwól...

Zapomnij życie pełne zła,
co znów cię wezwie pod swój znak...
Wypelza z pola nocna mgła.

Ach, zasnąć już —
siej, nocy mak...
cóż z tego, cóż —
ktoś zbudzi cię i tak.

(„Odwet“)
przełożył K. A. Jaworski

KROKI KOMANDORA

Ciężka, szczelna kotara na drzwiach,
Za oknami — mgły śnieżne, mgły mleczne.
Cóż zostało z twej swobody niedorzecznej,
Don Juanie, gdyś poznał strach?

Przepych sal, chłód i pustka — ścina krew,
Służba śpi, i głucho noc ucieka.
Z błogich stron, z nieznajoma, skądś z daleka,
Dolatuje kroguła śpiew.

Wiarołomco, na cóż ci ten dźwięk?
Przyszędł kres! Nie stanie się nic więcej!
Donna Anna śpi, na krzyż złożywszy ręce,
Donna Anna śni wieczny sen...

Czyżeż rysy srogle rosną w szklach,
W zwierciadlanych szklach nieruchomieją?
Anno, Anno, słodkież, lekkież sny pod ziemią?
Co oglądasz, powiedz, w tych snach?

Życie — otchłań, oblęd, wir bez dna!
Na rozprawę wychodzi, stary losie!
I jak echo — triumfalnie i miłośnie —
W odpowiedzi, w śnieżnej mgłę, trąbka gra...

Przelatuje, bryzgiem światel tnąc mrok,
Motor czarny i cichy jak sowa,
Po komnatach huczy głucho, grzmi miarowo
Idącego Komandora krok...

Drzwi na oścież... Z lodowatej mgły
Jak chrapliwy gong zegara brzmi pytanie:
— Na wieczność zapraszałeś, Don Juanie?
Oto masz mnie. Jestem gotów. A ty?

W odpowiedzi — w gardle więźnie głos.
W odpowiedzi — cisza przeraźliwa.
Wśród przepychu o rozświcie strach porywa,
Służba śpi, i wolno blednie noc.

W czas rozświtu — ziąb i mętny mrok,
W czas rozświtu — ciągnie w mgłę otchłanną...
Panno światła! Gdzieś ty, gdzieś, Donna Anno?
Anno! Anno! — Cisza głucha w krąg.

Tylko zegar grzmi ostatni raz,
W groźnym, rannym, huczy gong tumanie:
Na śmiertelne twoje gody Anna wstanie.
Anna wstanie w śmierci twej czas.

(„Odwet“)
przełożył Jerzy Liebert

KROKI KOMANDORA

Ciężka, szczelna kryje drzwi kotara,
noc za oknem — niebo w mgłach.
Przepeliła się twych nieprawości miara,
don Juanie, kiedyś poznał strach.

Chłód i pustka dziś sypialnię twą zaległy,
służba śpi i noc wśród chmur.
Z stron gdzieś nieznanomych, błogich i dalekich
słysząc pieje kur.

Cóż ci, wiarołomco, po tych błogich dźwiękach?
Dogasają życia skry.
Donna Anna śpi i krzyżyk trzyma w rękach,
donna Anna widzi sny.

Czyj to w lustrach odbił się na chwilę
wyraz twarzy tak okrutny, zły?
Anno, Anno, słodko spać w mogile?
słodko mieć nieziemskie sny?

Życie puste i obłędne — klęską!
W szranki, losie! Walczyć z tobą chcę!
W opowiedzi czule i zwycięsko
trąbka śpiewa w śmiesznej mgle.

Czarny motor cichym sowy lotem
przemykając bryzga światłem w mrok.
Niiby głuche uderzenia młotem
Komandora słysząc w domu krok.

Drzwi na oścież. I w mrożącej ciszy
jak chrapliwy zegar znany głos:
„Tyś mnie prosił na wieczerzę, słyszysz?
Otom jest. Czyś gotów spotkać los? — —

Na pytanie srogie — li milczenie,
li milczenie — ciszą w krąg.
O świtanu strasznie — wypelzają cienie,
służba śpi i blednie nocy zrab.

O świtanu — chłodna mgła zaranna,
o świtanu — mętnej nocy głęb.
Panno Jasna! Gdzieżeś, donna Anno?
Anno! Anno! — Cisza w krąg.

Tylko w groźnym, pnącym się tumanie
zegar bije już ostatni raz:
Donna Anna w czas twej śmierci wstanie.
Anna wstanie w śmierci czas.

(„Odwet“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

O, jak szaleńczo pragnę żyć
Unieśmiertelnić — istność rzeczy,
To, co bez twarzy — uczłowiczyć,
W ciało i krew zamienić myśl.

Niech życia sen okrutny gniecie
Niechaj utracę dech w tym śnie,
Wesoły chłopak kiedyś przelecie
W przyszłości może wspomni mnie:

*Darujmy mu ponurość — czy to
Ukryty motor jego sił?
Dziecięciem dobra, światła, światem,
Triumfem on wolności był.*

(„Jamby“ 1907—1914)
przełożył Seweryn Pollak

* * *

W głodnych i chorych lat niewoli,
oddane wciąż na pastwę złud,
kiedy wykłosi się już pole,
kiedy odetchnie wolny lud?

O lecie już szeleszczą kłosa,
kłaniając się o zmroku w pas,
co noc pod wiatrem słychać głosy:
oto kwitnienia nadszedł czas.

Lud wieńcem jest ziemskiego kwiatu,
radość rozpiera każdy kwiat:
i nas nie minie Boże lato,
i do nas się uśmiechnie świat.

(„Jamby“)
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Tak. To natchnienia mego wina,
Że myśl marzenia swe wypędza
Tam, gdzie w zatęchłych suterynach
Cuchnące błoto, mrok i nędza.
Tam, tam, pokorniej iść i niżej, —
Stamtąd o wizję świata prościej,
**Widziałeś dzieci tłum w Paryżu,
Zebraka w mroźną noc na moście?**
Niechże więc wstanie prawda naga

I grozę życia rauci w oczy,
Zanim straszliwych sił huragan
Ojczyzny twojej nie zamrocył, —
Niech gniew napętni męskie łono,
Do pracy gotuj obie ręce...
Albo przynajmniej w cichej męce
Pozwól tęsknocie swojej płonąć...
Ale z pobladłej twarzy zetrzyj
Kłamnego życia blansz i puder,
Jak kret uciekaj przed powietrzem,
Skryj się do ziemi w czarną grudę,
I nienawiścią swą skrzydlaty,
Pogardę kryjąc w serca drzeniach,
Bij w terażniejszość tego świata
Płomiennym słowem zaprzeczenia!

(„Jamby“)

przełożył Józef Łobodowski

* * *

Gdym spotkał cię, twój słyszał głos,
Byłem cierpiący, z duszą rdzawą,
Siostró, sądzona mi przez los,
świat cały zdawał się Warszawą!

Pomnę: „poetą“ byłem w dzień
(Wolnego życia upiór) nocą —
Nad czarną Wisłą — czarny cień...
Tak smutno, zimno i sieroco!

O, jeśli tak z pamięci swej
Wykreślić tylko miałbym prawo
Surową nędzę nudy złej
I smutku twego, o Warszawo!

I tylko przytwierdzałaś mi
Swą, siostró, wzburzającą trwogą,
O tym, że świat — domostwem Boga,
O ogniu i o chłodzie mgły.

(„Jamby“)

przełożył Seweryn Pollak

* * *

W pożodze lęku, w chłodzie trwogi —
Tak życie minie. Pomnij, miła,
Że się spotkamy z woli Boga,
W czas odkupienia — u mogiły.

Wierzę, że nowy wiek nadejdzie
W każdym nieszczęsnym pokoleniu.
Nie darmo je rozślawia wszędzie
Śmiertelnie znieważony geniusz.

I znieważeni jak on wszyscy
Są w sercach swoich, sercach śpiewnych.
Święty miecz wojny wszystkich błyszczy
W nieuniknionych chmurach gniewnych.

Choć dzień daleki — przykazała
Dla młodych mamy jedno: gniewem
Pogarda rośnie i dojrzewa,
A żrałość gniewu — to powstanie.

Zgrywajcie życie niby fanty.
Poetów serca wciąż na straży,
W ich niepokoju — moc się waży;
Podłbnie czarne śpią brylanty.

Śnem niepojętym i nieznanym.
W bezruchu śpią zaczarowanym
Do dnia aż w łonie gór głębokim
Kilof zadzwoni o opokę.

(„Jamby“)

przełożył Seweryn Pollak

* * *

Minęła burza tamtych lat.
Chłop czarną ziemię znowu kraje.
i znowu się skrzydlatym majem
rozdzwieczał w krąg nade mną świat.

Straszno i lekko i boleśnie,
znowu mi wiosna szepce: wstań!
I znowu chodzę jakby we śnie
i ściska mi wzruszenie krtani.

I serce wali ciężkim młotem
i zbyt się młodą czuje krew,
gdy śledząc za obłoków lotem
miłości w wietrze słyszy zew.

Zapomnij o okropnym świecie
i siłę skrzydeł swoich wzmóż.
Nie sam na uczcie byłem przecie!
Nie, nie zapomnę nigdy już!

(„Jamby“)

Przełożył K. A. Jaworski

SEN

Widziałem sen: w grobowej krypcie
Leżymy; w górze życie młynie
Coraz tu huczniej, coraz szybciej;
Ostatnie oto idą dnię

Już ranek zmartwychwstania świta.
Z daleka słyhać granie trąb.
Nad nami — marmurowa płyta
I granitowy ciężki zgrab.

I On nadchodzi z mglistej dali;
I aniołowie z mieczem — z Nim;
O takim w książkach-śmy czytali,
Ziewając i nie wierząc im.

W tej samej krypcie, obok, żona
Spokojnie nie przestaje spać;
Wolności widać nie spragniona,
Nie śpieszy ona z martwych wstać.

I słyszę matki mej westchnienie:
— Mój synu, pomnę, silnyś był:
Naciśnij mocniej na sklepienie,
By precz odrzucić ciężar brył.

Nie mamu. Tchu mi zbrakło w grobie,
Noc moją nadwyreżył czas.
Więc módlcie się i proście obie,
By anioł zwałił grobu gład.

(„Wiersze różne“ z t. III 1905—1910)
przełożył Leonard Podhorski-Okołów

POCHOWAJĄ, ZAKOPIĄ

Pochowają, zakopią głęboko;
na ubogim pagónku traw dosyć.
Posłyszym — daleko, wysoko,
gdzieś, nad nami, na ziemi, deszcz rosi...

O nic więcej nie pytać nam przecie,
z leniwego snu budząc się sennie.
Wiemy, jeśli nie głośno — tam jesień,
jeśli burza — czas idzie wiosenny.

Jak to dobrze, że w szmery tej drzemki
troska, zachwyt wstępować nie mogą,
że od rozłąk, miłości i męki
ocaliłaś, trumienna podłogo.

✓ Tu się śpieszyć nie trzeba. Spokojnie.
Tutaj można się chyba domyśleć
co przez życie, beztroskie, czy znojne,
rozumiało się w ludzkim umyśle...

(„Wiersze różne“ z t. III.)
przełożył Józef Czechowicz

SNEM CICHYM UŚNIJCIE...

Snem cichym uśnijcie, przybysze z za morza, uśnijcie,
zapomnieć musicie, że klatka mrocznieje po cichu,
że gwiazdy się sypią, motając nić srebrną w zenicie,
że węże złociste płasają w szampańskim kielichu...

Gdy nić ta nareszcie w błyszczącą zamieni się siatkę,
bezkresem zaś jednym kłęb węzłów z kielicha się stanie,
ktoś wzniesie i rzuci z rozmachem zbyteczną już klatkę
w głąb wieczną błękitu, w bezdennych przepaściach otchłanie...

(„Harfy i skrzypce“ 1908 — 1916)
Przełożył Józef Czechowicz

* * *

W knajpie na stół schyliłem skronie.
Nie szkodzi. Piję noc już całą.
Ot szczęście moje — trójką koni
w srebrzystym dymie odjechało.

Leci na saniach, już się topi
w lat śniegu, wieków zawierusze.
I tylko biała mgła spod kopyt
chlusnęła srebrem na mą duszę.

Iskra za iskrą w mroku goni,
wśród nocy świecą coraz gęściej...
Dzwonek przy dyszlu cicho dzwoni,
że przeminęło moje szczęście...

I tylko uprząż pozłacana
w mroku mi brzęczy, w mroku świeci...
A dusza... dusza ma pijana
bezsilnie męczy się w zamieci...

(„Harfy i skrzypce“)
przełożył Józef Łobodowski

Utoniesz w gęstych traw pomroczu.
 Szybko pod cichy dom podążysz..
 Obejmie dłoń, obejmie warkoczem
 i smukła powie: — witaj, księżo.

— Oto tu róży biały kwiat szeleści.
 — Oto tu wczoraj powójka się pięła.
 — Gdzieś był, przepadał? Jakies przyniósł wieści?
 — Kto kocha, zdradza, krwawe spełnia dzieło?

Jak dawniej znów zapomnisz, że czas leci,
 jak dawniej znów przebaczysz złym i dumnym.
 I widzisz — słońce w chmurach blade świeci
 i słyszysz — pieśń wiatr ze wsi niesie szumny...

Zapłacze serce za dalekim krajem,
 zapagnie walki i bitewnej wrzawy..
 Powie mi tylko: — żegnaj. Wrócisz z majem.
 I znów dzwoneczek zadzwoni za trawą...

(„Ojczyzna“ 1907—1916)
 przełożył K. A. Jaworski

SKROŚ MOKRĄ NOC...

Skroś mokrą noc w tumanie
 wciąż las, i las, i las..
 w wilgotnym gdzieś burzanie
 ogień zabłysnął — zgasł..

I błysnął znów w tumanie
 i widzę — senny zwid:
 izba i krzak geranii
 czerwieni się u szyb.

Skroś mokrą noc w tumanie
 na krwawy ognia wzrok,
 na czerwień tych geranii
 kieruję konia krok.

I widzę przy płomieniach:
 ten dom w burzany wrócił.
 W nieszczęsnych zapomnieniach
 nieodgadniony mus..

I ogień mi nieznanym
 do oczu słodycz niósł;
 kopyta nad burzany
 koń pełen trwogi wznosił.

„O przyjacielu, skromniej,
zawracaj, póki czas;
dojedziesz — dni zapomnisz,
wezmą cię noc i las...

W tumanie i w burzanie
Chrystusa zdradzisz rad
za czerwień tych geranij,
za ust czerwonych kwiat...“

(„Harfy i skrzypce“)
przełożył Józef Czechowicz

NA POLU KULIKOWYM

I.

Szeroko rzeczny nurt. Leniwe fale płyną
wzgórzom u żółtych nóg.

Ponad unwiska obsypaną gliną
przy stogu smutny stóg.

O, Rosjo! Żono moja! Jakże boli
ten szlak w całunie mgieł!

W piersi — jak grot tatarskiej złej swawoli
wbil się po belt.

Twój żal nad stepem skrzydła swe rozłożył,
zaplakał tęskny ból!

Lecz nawet nocna groźba nas nie trwoży
wśród twoich pól.

Cóż noc! Pomkniemy. Blask ogniska
ciśnieniem w stepową dal.

W stepowym dymie święty sztandar błysnie
i chińskiej szabli stal.

I wieczna walka! Sny nam spokój wróżą
przez jęk i płacz.

Rozgłośnie tętni mnąc skrwawiony burzan
stepowa klacz...

I nie ma kresu! Mroczna noc zapada...
Wstrzymaj swój bieg!

Pełzną po niebie chmur spłoszone stada,
krwią zachód ścieki.

Zachód we krwi! I krew strumieniem z boku!
Płacz, serce, płacz...

Spokoju nie ma! Tętni polem w mroku
stepowa klacz.

2.

Zatrzymała północ nas w tym pędzie:
ani wrócić, ani spojrzeć w tył.
Za Nieprawdą niesły się łabędzie
lamentując w górze z całych sił...

Tam na drodze — czarodziejski kamień,
A za rzeką czerń pogańskich horń,
Nie zaszumi sztandar ponad nami,
nigdy w dłoni nie zaświeci kord.

I wbijając w ziemię oczy sine,
mówi do niej druh mój: — Wyostrz miecz,
by nie darmo bić się z Tatarzynem
i za świętą sprawę martwym lec!

Ze mnie rycerz nie ostatni w bitwie,
zamrze kraj w ponurym, długim śnie.
A ty, żono miła, przy modlitwie
choć na chwilę wspomnij także mnie!

3.

Chmurną nocą, gdy Tatarzyn dobiegł
sinej, rzecznej mgły,
w ciemnym polu byliśmy przy Tobie. —
Czyś widziała Ty?

Oczekując rozszalałej burzy
Don w tumanach znikł,
głos Twój święty w sercu mi wywróżył
dziki ptactwa krzyk.

A z północy szła księżęca siła,
lśniło srebro ros.
Stara matka głośno zawodziła,
rwała siwy włos.

Krażył ptactwa orszak pogrzebowy
przelatując wzdłuż.
I nad Rosją strzegły księcia głowy
sine błyski zórz.

Oni klangor głośno się weseląc
wróżył stopy ciał,
nad Nieprawdą mgieł wilgotnych welon
wznosił się i chwiał.

I w tych chmurach nad Nieprawdą śpiącą
szłaś przez nocny mrok,
poraziłaś twarzą gorejącą
mój oslepy wzrok.

Rozzarzyłaś miecz płomienną strugą,
że jak diament lśnił,
Jasną dłoń uniosłaś nad koleczuga,
zmyłaś brud i pył.

A gdy rankiem pchnął do boju Tatar,
przednią wojska straż,
na mej tarczy lśniła jak poświata
Twoja święta twarz.

4.

Znów step opylony utonął
w tęsknocie i męce stuleci.
Za rzeką wieczorną, zamgloną,
wychodzisz, samotna, naprzeciw.

Stepowe tabuny rumaków
zginęły, przepadły bez wieści
i wichry szumiący na szlaku
o innych zwyczajach szeleści.

I sam ja z odwieczną żalobą
pod krwawym księżycem na niebie
nie zgadnę, co czynić ze sobą,
gdzie iść i jak dążyć do ciebie.

Ujrzało Tatarów me oko,
zagłuszyć ich krzyków nie mogę
i widzę nad Rosją szeroką
ogromną i cichą pozołę.

Objęty potężną tęsknotą,
na koniu wędruje i błądzą.
I lśnienia błyskawic się plotą
jak złote, niebieskie wrzesciądze.

Podnoszą się myśli jak cienie
w mym sercu znużonym i krwawym
i jasnym objęte płomieniem
spadają popiołem na trawę...

O, przybądź, potęgo straszliwa!
Rozjaśnij me serce człowiecze!
Nad wichrem unosi się grzywa,
za wichrem szczękają złe miecze...

5.

Znów mgła na ziemi i na niebie
jak gromnie dym u zimnych zwiok
i puste pole walki grzebie
idących dni surowy mrok.

A za chmurami, w mgieł tych srodku,
nie huczy groźny grom —
i głośny tętent końskich podków
nie zawtóruje moim snom.

Lecz cię poznaję, pierwsza chwilo
ogromnych buntowniczych lat!
Nad wrażym wojskiem głośno kwilą
schrypte klangory orlich stad.

Nie umie serce żyć spokojem,
nadleciał wicher — zwiastun burz.
Cięży ci zbroja jak przed bojem.
Już dzień. W modlitwie ręce złoź.

(„Ojczyzna“)

przełożył Józef Łobodowski

JESIENNY DZIEŃ

Idziemy pośród zboża w dal
Z tobą, o mój przyjacielu,
I płonie w sercach naszych żal,
Jak w ciemnym wiejskim kościele.

Wysoki dzień jesienny ścichł,
I słyszy tylko ucho,
Jak kruk zwołuje druhów swych,
Staruszka kaszle głucho.

Nad polem płynie niski dym,
Szarawą płynie smugą,
I nasze oczy płyną z nim
Za żurawiami długo.

Trójkątem skośnym mkną i mkną,
Przewodnik stada płacze.
Co znaczy ton, ten ton, ten ton?
Co płacz jesienny znaczy?

Tych niskich, głuchych, biednych wsi
Policzyć wzrok nie może
I pośród dnia zmierzchłego lśni
Ognisko na ugorze.

O biedna ma ojczyzno, znów.
Dla serca tyle znaczysz!
O biedna żono moja, mów,
Nad czym tak gorzko płaczesz!

(„Ojczyzna“)

przełożył Włodzimierz Słobodnik

ODWIEDZINY

Głos

Nie choiny wysmukłe unoszą
na zachodzie wierzchołów swych krzyże,
to twe dłonie nad śnieżną pustoszą
coraz bliżej błyskają i bliżej.
Pochłonięta wichrami i bielą,
uniesiona nad martwe rozstaje,
znów się chyłę nad twoją pościelą
i oddycham i twarz twą poznaje...
W mroku nocy mój wieniec się żarzy,
a tych nocy bezsensownych tak dużo.
I źrenice błękitne na twarzy
zachowałam przed wichrem i burzą.
Na twojej skroni blask ognia się kładzie,
w męskim głosie grzmia burz niepokoje,
ale głos wystraszony mój zdradził,
że twe serce jak dawniej jest moje.

Drugi głos.

Wichry dom ten okryły już bielą,
przygaśnięcie ognia i pustka się mroczy.
Nad tą chłodną, samotną pościelą
tylko wróg zwykły zaglądać mi w oczy.
W ślepej duszy zostało niewiele,
jeśli wspomnę — mknie wichur z oddali,
tylko rubin w gasnącym popiele
twarz zwęgloną płomieniem osmali.
Spojrzeć w oczy błękitne już nie śmiem,
świat miniony żałobą się znaczy.
I skurczyło się serce boleśnie
pod spojrzaniem minionej rozpacz.

(„Ojczyzna“)

przełożył Józef Łobodowski *

NOWA AMERYKA

To radosne, to ogromne święto,
jeno w chmurach gwiazd niknie rój...
Pod tą śnieżną wicherzycą zawziętą
rozłożyłeś się, kraju ty mój.

Za śniegami, lasami, stepami,
dokąd twoja ukryła się twarz,
kędy spojrzysz, w krąg przed oczami
nieobjęte przestrzenie masz.

Pędzą sanki zaśnieżoną drogą,
srebrny kurz leci koniom spod stóp.
O, ty fińska Rosjo uboga,
niebogaty sprawiono ci grób.

To modlitwę na wangi nanięsz,
to żebraczką mi wyjdiesz z za drzew,
wszędzie krzyże, i krzyże, i krzyże,
bicie dzwonów, procesja i śpiew.

Lecz nie zawsze pokora prześwieca
zza kadzideł klasztornych i krat...
Spod barwistej chusteczki kobiecej
innym wzrokiem spoglądasz na świat.

Żar pokłonów i świece woskowe,
śpiew żałobny intonuje mnich —
szepcąc ciche strumienia się słowa,
nagły płomień na policzkach twych.

Dalej, dalej... Już wiatr huczy srodze,
czarnym polem wirując i mknąc...
Wąty krzak zatrzepotał przy drodze,
jakby stulą zamachnął się ksiądz...

A już tam za rozlewną, za rzeką,
gdzie burzanów kołysze się tłum,
jakiś dym sine niebo powleka,
słysząc gwizdy nieznane i szum.

Czy Połowiec spał konia ostrogą,
czy Tatarzyn podstępnie się wkradł?
Może czapki tureckiej pożoga
dziko bujny zawichrzył się świat? —

Nie, stancy nie dostrzec na brzegu,
nikt przyłbicą nie czerpie już wód.
Ani piękna prawnuczka Warega
nie zawodzi wleczona na wschód.

Nie jaśnieją czupryny kozacze,
ani buńczuk w wojenny mknie czas...
Gwizd fabryczny tam jęczy i płacze,
i kominów podnosi się las...

Szlak stepowy — dale nieobjęte,
step i wicher — a wtem nowy świat:
to fabryczny gmach na kilka pięter,
czarne miasto robotniczych chat.

Na tych stepach, gdzie pustka i ciemność
wciąż ta sama, a inna niż w przód,
inną twarzą zabłysłaś przede mną
i już nowy zamarzył się cud...

Czarny węgiel — nadejście Mesjasza,
czarny węgiel — to władca i los,
lecz nikogo, o Rosjo, nie straszy
twych kamiennych, nowych pieśni głos!

Blyszczy sól, słycać łoskot miarowy,
i żelazny rozlega się krok...
To już gwiazda Ameryki nowej
zabłysnęła nad stepem przez mrok.

(„Ojczyzna“)

przełożył Józef Łobodowski.

* * *

Pamięć życiowych dni nie świeci
tym, których rodzi zła godzina.
My strasznych lat rosyjskich dzieci
nie mamy sił, by zapominać.

O, lat spopielających pościg.
Nadzieja Szał się w was rozżarza?
Z dni groźnej wojny, z dni wolności
został nam krwawy blask na twarzach.

Czekamy niemi — bicie dzwonów
zamurowało trwożne usta.
I w sercach kiedyś zachwyconych
panuje teraz cisza pusta.

Niechaj nad naszej śmierci łożem
żałobnym chórem wrony kraczą, —
i tylko godni, Boże, Boże,
Królestwo Twoje niech obaczą.

(„Ojczyzna“)

przełożył Józef Łobodowski

S Ę P

Za kręgiem równy kreśląc krąg
Nad senną łąką sęp kołuje,
Przeszywa okiem bezmiar łąk. —
Nad symem matka poplakuje:
„Naści chleb jedz, pierś moją ssij,
Rośnij, krzyż noś, w pokorze żyj!“

Stulecia mkną i wojna grzmi,
Szaleje rozkosz, siola płoną —
A tyś ta sama zawsze, wsi,
W płaczącej krasie przeszłych dni,
Rodzinna moja strono.
Kołuje sęp nad morzem łak,
Zawodzi matka w krąg...

(„Ojczyzna“)

przełożył Jerzy Liebert

ODWET

(Z rozdziału I. poematu)

Wstań, rankiem wyjdź na zieleni łąk:
na bladym niebie jastrząb krąży,
i kreśli wciąż za kręgiem krąg,
a ostry wzrok w tę stronę dąży,
gdzie gniazdo w krzaczach ukryte w pół...
I nagle — gdzieś tam ruch... kwilenie...
więc nasłuchuje.. jeszcze mgnienie —
na prostych skrzydłach spada w dół...
Krzyk niespokojny z gniazd sąsiednich,
pisk rozpaczliwy piskłat biednych,
leciutkich piórek w wietrze gon —
w ofiarę nędzną wbija szpon...
Skrzydłem machnąwszy znów ogromnym
w-niebiosy wzbił się, kreśli krąg,
niesytym okiem i bezdomnym
znów się wpatruje w pustkę łąk.
Gdziekolwiek spojrzysz, łuk zatacza...

Tak matka — Rosja, jak ptak płacze
za dziećmi swymi; lecz ich losem —
wciąż ginąć pod jastrzębim ciosem.

1916

przełożył K. A. Jaworski

WARSZAWA

(fragment z poematu „Odwet“)

Czyliż i ciebie, o Warszawo,
Stolico dumnej polskiej ziemi,
Wojenne carskich hord wyprawy
W martwocie pogrążyły niemej?
W podziemia zeszło życie w grodzie,
Pałace pańskie śnią w ustroniu,
Tylko Pan-Mróż na dzikim koniu
Bez kresu hula na swobodzie !

To wściekle wzniesie się nad nami
Jego łeb siwy wśród kurzawy
Lub odrzucone w tył rękawy
Zadymką wzleca nad domami,
Lub zarzy koń — i brzękiem w burzy
Telegraficzny drut oddzwoni,
Pan rwące cugle ściągnie w dłoni,
Żelazo ostro mu powtórzy
Zamarzniętego stuk kopyta
W ulicy pustej bezchowej...
I znowu pochyliwszy głowę
Tęsknotą niemą Pan przeszyty.
Tak pędząc na spienionym koniu
Ostrogą pobrzękuje krwawą...
I, zemsta! zemsta! Nad Warszawą
W żelazie zimnym echo dzwoni.

I jeszcze lśnią kawiarnie, bary,
I Nowy Świat sprzedaje ciała,
Kipią bezwstydną trotuary.
W zaułkach — pustka odrętwiała,
I mrok, i zawieruchy łkanie...
Aż się zmiłował strop bezgwiazdny —
Śnieg głuży krzyk i turkot jezdni
I niesie swe zaczarowanie...
Snuje się, ściele się i szmerze
Śnieg cichy, wieczny śnieg zamierzchły,
I ciebie, mój ty bohaterze,
Śnieg cicho swym przyprószy zmierzchem,
Póki bez celu, z sercem smętnym,
Zaledwie pochowawszy ojca,
Błakasz się, błakasz się bez końca
W tym tłumie chorym i namiętnym...
Bez myśli, uczuć, pełen czczości,
Żrenica blaskiem nie zapala,
Jakby się dusza zestarzała
O dziesięć lat od samotności...
Latarnia roni światło blade...
Zza węgla snując cień po ścianach,
Ktoś pieczołotliwie się zakrada,
Wabi jak niegdyś ukochana.
I nagle serce tve zdławiła
Tęsknota niewypowiedziana,
Jakby je ciężka ręka w ranach
Do ziemi zgłębia i zdusiła...
Już nie samotny kroczy mrokiem,
Lecz jakby komuś daje wieść się,
Ktoś stąpa obok śpiesznym krokiem,

Krakowskie wiedzie ich Przedmieście:
 Wisła — piekielny kłęb śnieżycy...
 Tam w zimną noc dzwoniąc zębami
 Osłony szuka za domami
 I w dawną wraca znów ulicę.
 I znów pod śniegiem zamyślony
 Nad kulą ziemską śni Kopernik...
 (A obok niego druh — powiernik
 Czy rywal — stąpa żal), Zmylony
 Zwrócił pod górę krok niesprawny,
 Tu po soborze prawosławnym
 Przez chwilę ślepym wzrokiem wodzi.
 (Jakiś nie byle jaki złodziej
 Zbudował go, nie dobudował...)
 Śpieszy bohater mój, lecz znowu
 Osłabił — wokół śnieg się ściela —
 Już zaczął drzeć na całym ciele
 Niepokonanym drobnym dreszczem,
 (W nim apłoty się na jedno mgnienie:
 Mróz i tęsknota i znużenie).
 Godzinę już w bezdrożu śnieżnym
 Bez celu brnąc poprzez kurzawę,
 Błądził bez snu i bez nadziei —
 Ścicha złowieszczy świst zawiei
 I sen zstępuje na Warszawę.

przełożył Mieczysław Jastrun

OBRACHUNKI

Pierwsze dni nowej wiosny. Burza marcowa, śnieżna zadymka i grzmoty piorunów... Dni niespokojne, przesycone elektrycznością. Wzburzony tłum na placach, tłum na ulicach. Krążą pogłoski, wieści dzikie, trwożliwe, nieprawdopodobne, rozsadzają głowę oszolomioną — jeszcze pełną ciszy nędzarskich poleskich pól, łuninieckich ospałych bagien, której wtórzy jednostajny szmer szpadli kopaczy, kopiących okopy, przygłuszony odgłos dalekiej strzelaniny i zablakany dźwięk dzwonu, dolatujący z pińskiego kościoła.

„Do Sewastopola przyjechali bolszewicy, podburzyli załogę, Kółczak uciekł. Od rana krąży pogłoska, że Kierenski zwariował“...

„Mamo! Życzę ci wesolych świąt — pierwszych, które spędzimy bez asysty żandarmów“...

Ale wkrótce potem: „W mieście jawnie już podnoszą głowę junkrzy, giełdziarze, „Nowoje Wremia“. A więc znów? Znowu powrót do nocy, do zgrozy, rozpaczy“...

Dnia 3 lipca Błok notuje: „Na ulicy wołają „Precz z Rządem Tymczasowym!“, wychwalają Lenina, przez bliski Mikołajewski most maszerują robotnicy i wojsko z transparentem „Precz z Rządem Tym-

czasowym!“. Strzały... Dnia 6 lipca: „Pogłoski o aresztowaniu Lenina“. Dnia 13 sierpnia: „List od mamy — strasznie zdenerwowany... Wczoraj przemawiał Kierenski. O tym przemówieniu, pełnym liryki, łez, patosu, każdy może powiedzieć: „Pocóż to znowu?“ Dnia 28 sierpnia: „Nadzwyczajne dodatki o spisku Kornilowa... Nie ulega wątpliwości, że Kornilow to symbol; na sztandarze jego wypisano: „żywność, własność prywatna, konstytucja z nadzieją na ewentualną monarchię, żelazne rękawice“. „Pogłoski, że Kornilow maszeruje na Petersburg“...

Dnia 12 września: „Od dawna nic nie chce się zapisywać. Wszystko się rozkłada. W ludziach zagnieździła się jakaś nieuczciwość. Wojna trwa“....

Dnia 15 października: „Dwa telefony od Zinaidy Gippius i Miereżkowskiego. Odmówiłem udziału w gazecie Sawinkowa“...

Odwraca się karta historii.

Biekietowa, ciotka Błoka, notuje w swoim pamiętniku: „Czuł się odmłodzony, wesoły, rześki, z płonącymi oczami wsłuchiwał się w „muzykę rewolucji“, w loskot walącego się starego świata“... Entuzjazm. Ekstaza. 1918 — olbrzymia fala natchnienia. Jej szczyt — „Dwunastu“. Pioruny artykułów Błoka. Entuzjazm. Zachwyt. Oburzenie. Jak można, — woła Sołogub, — jak można! Dziś, kiedy wszystkich naszych popów... Wściekłość! Było już coś niepokojącego i przed październikowym buntem czerai — odmowa udziału w przeciwbolszewickiej gazecie, maniackie ujmowanie się za tego awanturnika Gorkiego..., ale któż mógłby przypuszczać, że do tego stopnia... I wyrafinowana poetessa, Zinaida Gippius-Miereżkowska, ogłasza bojkot. Niemcom się zaprzedał. Zbyszczęścił dobre swe imię. Oszczerstwa. Kubły pomyj.

Odpowiedź — wyniosła wzgarda. Cóż dziś oni — „kwiat narodu“, „śmietanka społeczeństwa“, która sama się już na wieki wieczne pogrzebała cyniczną zdradą obłudnych frazesów — „ideałów“. Cóż dziś oni? Jest wróg groźniejszy.

„Obok mnie, za cienką przegrodką, mieszka tu mieszcuch ze swoją rodziną. Włosy na jeża, obrotny, przez całe życie wysoki urzędnik, pod oczami worki, brzuszek, pachnie świeżą męską bielizną, jego córka gra na fortepianie, jego głos — tenorek — słychać za ścianą na schodach, na podwórzu, przy ubikacji. Wszędzie on. Boże Święty! daj mi siłę wyzwolić się od nienawiści do niego, która z mieszkania mnie wypędza, zalewa jadem, myśli płacze. On jest takim samym mięsożernym czworonogiem jak i ja, osobiście nie wyrządził mi żadnej krzywdy. Ale ja duszę się od nienawiści, która dochodzi do jakiegoś patologicznego, histerycznego obrzydzenia, żyć mi nie daje. Odejdź ode mnie, Szatanie, odejdź ode mnie, mieszcuchu — tylko tak, żeby nie dotknąć się ciebie, nie widzieć, nie słyszeć; nie wiem, czy lepszy jestem od niego, czy gorszy, ale się brzydzę nim do mdłości, do torsji, „odejdź, Szatanie“... Zdawało mu się, że ten nie doduszony kupczyk zagraża samej rewolucji, że gotów ją zatruć, zdeprawować...

Ale wy! — wy, „kwiat narodu“, „śmietanka“ i „szczyty“ inteligencji, twórcy i strażnicy ducha, kultury i sztuki... Co wy tu jeszcze

macie do powiedzenia?! Lamentujecie, że poniszczono wam wasze dwory, wyrąbano odwieczne topole, poburzono świątynie? Jaktó, „dlaczego niszczą wam starożytny tum!!! — „A dlatego, że w nim przez sto lat obrośli sadłem „kapłan“ czkając, brał łapówki i kupczył wódką. Dlaczego plugawią łube waszemu sercu jaśniepańskie gniazda? A dlatego, że tam gwałcono i katowano dziewczki — jeżeli nie u ciebie, to u twego sąsiada. Dlaczego wycinają stuletnie parki? A dlatego, że sto lat w cieniu ich rozłożystych lip i klonów jaśniepaństwo pysznili się swoją władzą: mędzarczowi w nos tkali worek, a głupcowi swe wykształcenie... Wszak za przeszłość my odpowiadamy? My — ogniwa jednolitego łańcucha“...

„Lecz nie trwóście się. Czyż może zginąć chociażby jedno ziarno prawdziwej miłości? Niezbyt, widać, kochaliśmy, jeśli się teraz lękamy o nasze ukochanie.“ A przyszłość? „W masach śpią jeszcze twórcze siły; możecie od nich w przyszłości usłyszeć takie słowa, o jakich dawno już zapomniła nasza wyjałowiona, starcza i książkowa literatura“... „Ci z was, którzy ocaleją, staną się posiadaczami nieprawdopodobnych bogactw ducha“. Więc po cóż ten lament? „Czyście myśleli, że rewolucja — to sielanka?“

Nie, rewolucja nie była sielanką, lecz ręką, żegnającą przeszłość i błogosławiącą dzień nowy, fatalną siłą dziedziczności kreśliła stary hieratyczny znak krzyża... Na czele dwunastu apostołów rewolucji zjawił się Chrystus w wianku białych róż... Rodził się bolesny dysonans.

„Nie o to chodzi, cze czerwonogwardziści „piegodni“ są Chrystusa, który idzie z nimi, ale o to, że to on właśnie idzie z nimi, gdy tymczasem powinien iść kto inny“... Gnębił się, gryzł tą myślą, lecz znów się cofał, znów powracał do swych fantasmagoryj, mitów, mgławic... mistycznych, pisał poemat o skośnookich Azjatach „Scytach“, którzy jedyni na świecie przechowują żywą jeszcze pierwotną siłę żywiołu. Przez rozwarłe szeroko bramy rewolucyjnej Rosji runą wichurą zatury i odrodzenia na zdeprawowaną przez „rozum“, przeżartą przez „racjonalizm“ burżuazyjnej zarazy Europę: wyzwolenie spod jarzma racjonalizmu, powrót do irracjonalnych żywiołowych sił, triumf intuicji — to tajny sens rewolucji... I znów oprzytomnienie, znów powrót do rzeczywistości — jakby inny człowiek... Niemiłosiernie trzeźwe i pełne patosu rozmyślanie o miejscu „wysokiej poezji“ w hierarchii walczącej rewolucji...

W owych oczekujących krwią, dymiących pożarami, głodowych czasach wojny domowej były trudności... trudności w wydawaniu tomików wierszy Błoka. Raz, już w roku 1919, rzecz oparła się o Gorkiego. Oświadczył, że wie o istnieniu tych „smutnych, lecz nieuniknionych faktów“; dużo jest przecież tępych szkodników, aże „Władimir Iljcz, Anatol Wasiljewicz i on stoją na zupełnie innym stanowisku, a takie wypadki należy zwalczać“... Tak mówił Maksim Gorkij, ale poeta-symbolista, Aleksander Błok, ma wielkie wątpliwości, jest pełen obawy — kto ma rację?: „Straszne to wszystko. Któż w końcu zwycięży?... Prowincja zasypuje Komisariat wymówkami, dlaczego wydaje się klasyków zamiast broszurek politycznych... Nie wiem. Czyż go-

dzi się wygłaszać takie piękne zdania, jak np., że „jedna stronica wielkiego pisarza więcej zawiera rewolucyjnego ognia niż tuzin nieudolnych broszur“?... Nie, to nie jest uczciwe postawienie sprawy, to jest wykręt... Rzeczywiście, broszurka jest nieudolna, ale da się z niej wyczytać więcej, niż w nią włożono, bo to jest właśnie broszurka, śmiecie, łachman, budzący w nędzarzu więcej zaufania niż obszerna, wolna od brudu książka. I w wielkiej, natchnionej księdze rozjątrzony nędzarz nie doszuka się tego, a czasem doszuka się w niej jeszcze czegoś, co nowym jadem zaleje jego rozeżloną, sponiewieraną, zaszczutą duszę“... Znowu tak jak wtedy, przed rokiem, w odczycie o „inteligencji i rewolucji“, zaszło mu drogę zagadnienie odpowiedzialności za przeszłość, za tę „rozeżloną, sponiewieraną, zaszczutą duszę“ nędzarza...

Ale teraz nie było w pobliżu wroga, nie było z kim walczyć — był sam w swoim pokoju, ze swym pamiętnikiem, i myśl biegła już w dał osobistych wspomnień, i spoza zbiorowej odpowiedzialności wyruszała się myśl o własnej winie, i szły wspomnienia falą szeroką, w rytm uderzeń utrudzonego serca...

„Tak, a więc i dotychczas jestem od nich silniejszy i siłę tę zdobyłem dzięki temu, że ktoś tam (przodkowie) miał pod dostatkiem wolnego czasu, pieniędzy, niezależności; dzieci przychodziły na świat butne, niezależne (choć pod innym względem już się wyradzające) dzieci kształciły się, uczyły (uczyła krew, dopomagała w nauce izolacja od zdobywania chleba w pocie czoła), jak z niczego stwarzać bezcenne wartości, pokrzywę „przetwarzać“ na brylanty, potem — pisać książki i... żyć z tych książek, podczas, gdy ci, co nie nauczyli się ich pisać, umierają z głodu“... Aż musiał przyjść czas wyrównania rachunków. „Sponiewierany, zaszczuty“ nędzarz upomniał się o swą część, o swój udział w parcelacji materialnych i niematerialnych dóbr. Przyszło spłacać stuletnie, stuletnie długi. I nie wolno jęczeć, nie wolno płakać nad rozwaloną świątynią, nad wyciętymi klonami, nad zrównanym z ziemią starodawnym dworem (tylko we śnie, tylko przez sen... „Dlaczego dziś w nocy tak zalewałem się łzami, śniąc o Szachmatowie“).

W Szachmatowie!...

Szły wspomnienia falą szeroką, powolną, w rytm uderzeń chorego, udręzonego serca...

„Tak, kiedy żywił w sobie ten wielki płomień miłości, złożony z takich samych prostych składników, lecz wzbogacony o nową wartość, nowy sens dzięki temu, że była ta miłość własnością moją i Liubow' Dmitrewny, — „ludzi niezwykłych“ — kiedy żywiłem w sobie tę miłość, o której po mojej śmierci będą opowiadały moje książki, — lubiłem na pięknym koniu przeharować przez wioskę; lubiłem spytać wynędzniałego chłopca o drogę, którą i tak znałem — ot, żeby się tak sobie „postawić“, albo spytać o nią, miłą starowinkę — żeby błysnąć do siebie przelotnie białymi zębami, żeby się coś w piersi zatrzepotało, ot, tak jakoś, od młodości, od tej wilgotnej mgły, od smagłej twarzy tej starowinki, od smukłej mojej postaci — i w niczym to nie przynosiło uszczerbku tej wielkiej miłości (czy tylko na

pewno? a jeżeli późniejsze upadki i upodlenia stąd właśnie wy-
 nikły?), lecz przeciwnie — wzmagalo jeszcze młodzieńczość, samą tyl-
 ko młodzieńczość, a wraz z nią rozpałał się ów „inny“ wielki płomień...
 A nędzarze wszystko to wiedzieli. Wiedzieli jeszcze lepiej niż ja —
 taki światły. Wiedzieli, że dziedzic jest młody, koń — postawny,
 uśmiech przyjazny, że dziedzic ma piękną narzeczoną i że oboje — pań-
 stwo. A państwo — czy mili oni czy nie — poczekajno tylko, już my
 im pokażemy. I pokazali. I pokazują. I jeżeli nawet brudniejsze od
 moich ręce (a i tego nie wiem, i tego nie śmiem sądzić, Panie) wy-
 rzucają z półek książki takiego nawet nieco zasłużonego dla rewolu-
 cji pisarza, jak A. Błok, nie ważą się być tu sędzią. Nie te, nie tylko
 te ręce wyrzucają je, ale i te dalekie, nieznanne mi miliony wynędznia-
 łych rąk; i patrzą na to miliony takich samych nie rozumiejących, o co
 chodzi, lecz wygłodzonych, udreńczonych oczu, które widziały, jak har-
 cował konno postawny, odhodowany dziedzic. I jeszcze coś niecoś wi-
 dywały różne inne, ale takie same oczy. I podrwiwają oczy — jakże
 to niby? harcował dziedzic, a teraz dziedzic — z nami? Ejże, czy do-
 prawdy z nami dziedzic? Demon z dziedzica! Dziedzic wykreśli się.
 I zostanie dziedzicem. A my — „raz ino żyjem“. Tak to ono“...

(„Skamander“ Nr. 87—89, X—XII 1937.

FRANCISZEK SIEDLECKI

DWUNASTU

I

Czarny wieczór,

Biały śnieg.

Wicher, wicher!

Z trudem na nogach trzyma się człek.

Wicher, wicher —

Na całym bożym świecie.

Kręci wichura śniegiem

I miecie.

Pod śniegiem — lód

ślisko, mordęga —

ślizga się wszelki łazęga,

Biedaczek!

Od domu do domu

Rozpięta lina

Pląkał na wietrze rozpina:

„Cała władza konstytuancie!“

Staruszka trapi się i płacze —

Mój Boże!

Ani rusz zrozumieć nie może,

Co to takiego,

Te słowa rozciągnięte,

Taka płachta olbrzymia?

Ileżby dzieci portyciąt miały z tego,

A każde bosc, zziębnięte.
 Staruszka, niby kwoka,
 Jakos tam przebrnęła przez zaspy ulicy.
 — Oh, Matko — Opiekunko z wysoka!
 — Oh, do grobu zapędzą bolszewicy!
 Wichher smagający!
 Mróz nieustający!
 Burżuj na ulic skrzyżowaniu
 Nos siny chowa w ubraniu.
 A to kto? —
 mruzczy półgłosem:
 — Zdrajcy!
 Rosję sprzedali —
 Chyba literat
 — Skryba!
 A oto długopoly,
 Boczkciem, ledwie go zauważysz,
 Nie bardzo jakos wesoly
 Pop — towarzysz .
 Pamiętasz jak bywało —
 Brzuch nosiłeś, z trudem,
 A brzucha grzeszne ciało
 Krzyż nosiło przed ludem?
 Ot, pani w karakulach,
 I druga —
 Podeszły blisko
 — A takeśmy płakali, płakali..
 Slisko —
 Bęc — leży jak długa.
 Oj, oj!
 Podność, trzymaj!
 Wiatr wesoly
 I zły, i psotny,
 Targa poly,
 Przechodniów kosi,
 Rwie, szarpie i ponosi
 Ołbrzymią płachtę:
 „Cała władza konstytuancie!“
 Słowa przynosi
 Po kryjomu —
 ... W tym domu...
 ... i myśmy, zebranie miały...
 ...Uradzono —
 Uchwalono:
 Raz — dziesięć, noc — dwadzieścia pięć,
 A mniej niech żadna nie śmie brać.
 ...Chodźmy spać...
 Późno.

Ulica pustoszeje,
Kuli się tylko włóczęga,
I wiatr wieje...
— E, biedaku!
Chodź-no bliżej,
Pocałujmy się...
— Chleba-by dali!
— No jakże będzie?
— Wędruj dalej!
Niebo czarne bez miesiąca.
Męka, męka gryząca —
Piers od niej pęka...
Mrok...
Ponura, święta męka.
Towarzyszu!
Wyteżaj wzrok!

2.

Wiatr i śnieg dokucza miastu.
Idą... Idzie ich dwunastu.
Na lufach czarne błyski stali,
A świat się wokół pali, pali...
Okurek w zębach, czapki z czoła
— Kompania godna i wesola!
Eh, krzyż diabli wzięli!
Wolność, wolność
Ludzi brata —
Tra—ta—ra—ta!

Mróz, towarzysze, pieski mróz!
— A Wańka w szynku Kat'kę kocha!
— Kierenek pełna jej pończocha...
— On bogacz, choć biedował nieraz,
— Kiedyś, towarzyszu, — żołdak teraz...
— Wańka, burżuju, stary draniu,
Spróbuj tak tylko z moją Manią!...
Wolność, wolność
Ludzi brata.
Eh, krzyż diabli wzięli!
Kat'ka z Wańką się weseli —
Z kim, z kim się weseli?...
Tra—ta—ra—ta.
A świat się pali, pali, pali...
Rzemień przez ramię i błysk stali...
Rewolucyjny równaj krok!
Wróg nie śpi — wyteż słuch i wzrok!
Strach, towarzyszu, w sobie zdus!
Wygarniem w świętą naszą Ruś,

W wielodzwonną,
Chałupianą,
Przysadzistą,
Eh, krzyż diabli wzięli!

3.

Poszli, poszli nasi chłopcy
Służyć w gwardii czerwonej,
Służyć w gwardii czerwonej —
Zbyć się główki zwichrzonej.
Eh, losie ty przekłety,
Losie wesoły, junacki!
Płaszcz cały w strzępach i zmięty,
Karabin austriacki!
Burżujów strach za gardziel żenie —
Rzucim na cały świat płomień
I w ogniu krwi rozlejęm morze —
Błogosław, święty Boże!

4.

Sypie śnieg, kłus jak szal,
Wańka z Kat'ką lecą w wał —
Latarenka elektryczna
Przy dyszelkach...
Haj — da—hecej! !

W burym płaszczu wyszarzanym,
Z pyskiem głupim, wylizanym
Kręci Wańka czarny wąs,
I podkręca,
I kpinkuje...

Ten nasz Wańka — chłop na schwał,
Gada, jakby nuty znał!
Głupią Kat'kę obejmuje,
Zagaduje...
Główkę w tył odrzuciła,
Ząbki, — perły wyszczerzyła...
Ej, Katiu, moja Katiu,
Pyszczku słodki...

5.

A na szyi twojej, Katiu
Niezgojonej blizny ślad.
A pod piersią twoją, Katiu,
Ktoś pazurem znaki kładł.
Eh, zatańcz — dobre wróżki,
Te twoje cudne nóżki.

Miałaś szmatki z koronkami,
Miejże sobie dalej, miej.
Sam na sam z oficerami
Włóż się znów i znów się śmieję.
Eh, nie są oni pierwsi,
Eh, jętko serce w piersi.

A pamiętasz oficera...
Nie ominął go mój nóż.
Zapomniałaś? — ot cholera,
Pamięć ci osłabia już.
Eh, pamięć, Katiu, wzmocnij!
Eh, przytul, Katiu, mocniej!

Jasne gietry nakładałaś,
Czekolady żarłaś w bród,
Junkrów miałaś, ile chciałaś —
Dziś żołnierski wolisz smród?
Eh, eh, słodki grzech!
Rozweseli duszę śmiech!

6.

...I znów naprzeciw, lotem strzał,
Hukają, wrzeszczą, lecą w ował..
Stać! Stać! — Jędrucha, pomóż-że mi!
Pietrucha, z tyłu wal za nimi!
Trach—tararach-tach-tach-tach-tach!
Ze śniegiem w niebo wzbił się strach!
Patrzajcie, nogi wziął za pas —
Na cel ich bierz! — wal jeszcze raz!
Trach—tararach...tach. popamiętasz,
Że się za cudzą dziewczką pętasz!

Uciekłeś, draniu — nic nie szkodzi,
Jeszcze cię nóż mój wynagrodzi!
A Kat'ka? — Boże Święty — kona!
Na wylot głowa przestrzelona...
— No cóż, Katienko? — zrzędła mina —
Na śniegu leżysz jak padlina...
„Rewolucyjny równaj krok!
Wróg nie śpi — wyteż słuch i wzrok!

7.

Idą dalej — krok miarowy,
Poprzez ramię — wierna broń.
Piet'ka idzie jak bez głowy,
Nie wie nic, co mówią doń.
Coraz szybciej, coraz szybciej,

Jakby go pokąsał gież,
 Chudą szyję w kołnierz kryje —
 Z łap go nie popuści bies.
 — Nie znać, bracie, w tobie zucha,
 Co burżujów brał na pal.
 — Nos na kwintę masz, Pietrucha,
 Czyż ci głupiej Kat'ki żal?...
 Och, bracia moi, nie zapomnę —
 Tę dziewczkę tak kochałem...
 Nocne obłędne, nieprzytomne
 Z tą dziewczką przesyppiałem.
 Za to życie, to szalone,
 Co w oczach gorzało,
 Za to znamię, to czerwone
 Za jej lędźwie białe,
 Jak szaleniec, na katusze
 Zaprzedałem duszę, ...aaach!
 Scierwo! katarynkę kręci,
 Coś ty, baba, albo żak?
 Czyżby się napadył chęci
 Przeinaczyć duszę wspak?
 Opamiętaj się, nieboże!
 Weź się w garść, jak każdy z nas!
 Nikt dziś niańczyć cię nie może,
 Za gorący na to czas!
 Nim się stary świat zwycięży.
 Będzie, bracie, jeszcze ciężej!
 I znów Piet'ka stąpa twardo,
 Równa chwiejny krok,
 Znowu głowę nosi hardo
 I rozjaśnia wzrok...
 Eh! Eh!
 Pozbytkujem — toć nie grzech!
 Zamykajcie drzwi, mieszkania —
 Znowu będą pładrowania!
 Otwierajcie piwnic wrota —
 Hej, hula dziś hołota!

8.

Ach, ty dolo — niedolo!
 Pusta beznadziejo,
 smiertelna!
 Ot, dzień jeszcze
 Jakoś spędzę...
 Ot popieszczę
 Włosków przedzę...
 Ot, pesteczki
 Plunę w oczy...

Nóż kosteczki
Połaskocze...

Leć, jak ptaszyna, burżuju, w niebieskie
smugi!

Za dziewczkę — białoszyję
Krwi ciepłej się napiję,
Wszystko mi jedno czyjej...

Ukój Panie, duszę raba twego i sługi...
Beznadziejnie!

9.

Gdzieś przepadł ulic zgiełk niezdrowy.
Cisza spoziera z miejskich wież,
Nie sterczy anioł stróż — stójkowy
— Na trzeźwo hulaj, ile chcesz!

„Pan wrósł na skrzyżowaniu ulic,
Wetknąwszy w kołnierz siny nos,
Tuż obok, ryży pies się kuli,
Jeżąc pod wiatr parszywy włos.

„Pan“ wrósł, jak głodny pies cygański,
Jak wieczny zapytania znak.
Tuż, stary świat, jak pies bezpański,
Skulił ogona nędzny kłak.

10

Rozpętała się wichura
Na hurra!
Na całego!

Nie dojrzyś jeden drugiego.
Śnieg się wzbija z mocy złej,
Śnieg się skręca w biały lej...

— Boże, ale też zadyma!
— Piet'ka, znów — toć sensu nie ma!
Pozłocista ikona,
Też cudów nie dokona!
Zmarłkotniałeś, ogłupiałeś,
Byle dureń z ciebie drwi —
Czyż nie dość za Kat'kę miałeś,
Czyś nie umył rąk we krwi?

Baczność! równaj krok zwycięski!
Nie śpi wróg — czeka twej kłęski!
Na bój! na bój!
Hej, ludu, zbrój się, zbrój!

Ze dostanę cię i tak!
— Towarzyszu, kiepsko będzie,
Zacniem strzelać, kul nie brak!
Trach-tarach... strzał pustym echem
Zawrócił i zbiegł.
Wicher się zanosi śmiechem
Przez nawiany śnieg.
Trach—tach—tach!
Trach—tach—tach...
... Idą, idą władnym krokiem...
Głodny pies za nimi bokiem,
Przed nimi — z krwawym sztandarem,
Niewidzialny ludzkim okiem,
Ostaniany od kul czarem,
Mocniejszy od złej zawiei,
W śniegów perłowej rozchwiei,
Jasny światłem wszystkich zórz,
Kryjąc w wiązku białych róż
Krwawienie krzyżowych ran,
Prowadzi ich — Chrystus Pan.

1918

przełożył Wacław Denhoff-Czarnocki

SCYTOWIE

Miliony was. Nas — niezliczony rój.
Spróbujcież tylko waleczyć z nami!
My — Scytów ród. Osmalił Azji znój
nam twarz z skrzącymi się oczami.

Powolny wiek wasz dla nas biczem trzasi.
My niewolniczej wierni doli,
jak tarcza staliśmy wśród wrogich ras
Europy i Mongolii!

Stulecia długie stary młot wasz kuł
i głużył grzmiący huk lawiny;
i tylko baśnią w waszych snach się snuł
Lizbony upiór i Messyny!

Przez setki lat patrzyliście na wschód
niesyci z skarbów nas wywłaszczyć
i szydząc wciąż, czekaliście, gdy głód
wasz zaspokoją armat paszcze!

Lecz bliska chwila. Rośnie nędza lat
i każdy dzień wciąż krzywdy mnoży.
Nadejdzie czas, gdy zniknie nawet ślad
po waszych rojnych miastach może.

O, stary świecie! Spłacasz życiu dań
i słodka męka tobą włada.
Zatrzymaj się, jak mądry Edyp stań
przed sfinksem, co zagadkę zada.

Bo Rosja — sfinks. Czy ssie ją smutku wąż,
czy spływa śmiechem, czy krwią broczy
i z nienawiścią i z miłością wciąż
wpatrzona w ciebie są jej oczy.

Bo kochać tak, jak kocha nasza krew,
nikt z was się dawno nie ośmiela!
Nie wiecie wy, jak brzmi miłości śpiew —
tej, która pali i spopiela!

Kochamy wszystko — jak żar zimnych liczb,
tak i natchnienia dar proroczy.
Zarówno płonie nam gallijski znicz,
jak i germański geniusz mroczny...

I bliski nam paryskich ulic żar,
weneckich mostów mrok ponury,
i wonnych gajów cytrynowych czar,
i tumu kolońskiego mury.

Kochamy ciało, żywą ludzką twarz
i ciała barwę, smak i zapach...
Czyż będziem winni, kiedy szkielet wasz
zachrzęści w naszych ciężkich łapach?

Przywykliśmy, chwytając grzywy włos,
ogierom rączym w biegu sprostać,
przetraćcać koniom pacierzowy stos
i niewolnice biczem chłostać...

Więc chodźcie do nas! Od wojennych burz
w pokoju idźcie świętą ciszę!
Dopóki jeszcze czas, do pochwy nóż!
Będziemy braćmi, towarzysze!

A jeśli nie, — wypadków inny bieg,
nas również stać na wiarołomstwo.
Przekleństwem będzie was przez długi wiek
wciąż ścigać chore, złe potomstwo.

Szeroko w dal przez puszcze i przez step
przed Europą urodziwą
rozstąpić się i zobaczycie wnet
Azjatów paszczę chciwą!

Więc śpieszcie wszyscy na uralski front,
już wolny plac, gdzie wnet zatańczą
stalowych maszyn huk i dymu śwąd
z mongolskich dziłkich hord szarańczą.

Lecz nie będziemy już wam tarczą, nie!
Do boju nie przystąpić sami.
Popatrzym, jak śmiertelna walka wre,
wąskimi swymi żrenicami.

Nie ruszym z miejsca, kiedy Hunnów dzicz
stolice spali, krzyż znieważy
i gdy plądrując będzie głośno wyć
i mięso białych braci smażyć.

Ostatni raz — o, stary świecie, już
na bratnią ucztę pracy, zgody,
ostatni raz na ucztę bratnich dusz
brzmi alarm barbarzyńskiej ody.

1918

przełożył K. A. Jaworski

NOTY

STULECIE ŚMIERCI SIENKIEWICZA odbiło się echem w licznych czasopismach. Na podstawie wypowiedzi różnych autorów jedno stwierdzić można: między entuzjastami autora „Trylogii” a jego przeciwnikami nie ma dzisiaj tak wielkiej różnicy, jak dawniej. A na jednym punkcie zgadzają się wszyscy: Sienkiewicz jest niezrównanym artystą i mistrzostwa jego prozy nie drasnął wcale żąb czasu. Spośród wielu artykułów rewizjonistycznych na szczególną uwagę zasługują rozważania Stawara w „Kuźnicy”.

W SIERPNIU upłynęło 20 lat od śmierci jednego z największych naszych liryków — Jana Kasproweza. I tę rocznicę (niepodzielną zresztą przez 25 lat) uwzględniło wiele pism, a niektóre z nich przypomniały niestety i dziś aktualny nieraz wiersz jego z „Księgi ubogich” — „Rzadko na moich wargach...”

SPADAJĄ GWIAZDY z firmamentu współczesnej literatury angielskiej: po Conradzie, Kiplingu, Chestertonie i Garlsworthym — odszedł Wells, Wells fantasta — autor „Walki światów”, „Wehikułu czasu”, „Niewidzialnego”, „Pierwszych ludzi na księżycu.” Wells — malarz życia współczesnej Anglii, subtelny ironista, twórca niezapomnianego „Ojca Krystyny Alberty”. Wells — psychoanalityk („Tajemnicze zakątki serca”). Wells — uczonej („Historia świata”). A przede wszystkim zawsze człowiek wierzący w naukę i postęp, w lepszą przyszłość ludzkości, w ustanie wojen. Pozostał na placu osamotniony Shaw, młodzieńczy starzec, który obchodził właśnie swoje dziewięćdziesiąte urodziny.

W ROKU BIEŻĄCYM upływa 150 lat od śmierci jednego z największych poetów angielskich (ściślej szkockich) Roberta Burnsa. Pisma literackie w Polsce nie zwróciły na tę rocznicę uwagi. A przecież Burns, którego utworami zachwycał się między innymi Marx, był w poezji prekursorem demokracji i biczem nielitościwej satyry smagał bogatą arystokrację. Dla niego prawdziwym arystokratą był nędzarz w łachmanach, żyjący o chlebie i wodzie, ale karmiący się uczciwą pracą. Burns, entuzjasta rewolucji, francuskiej, wierzył w nastanie dnia, gdy „wszyscy ludzie w koło staną się braćmi“. Słynny jego wiersz alegoryczny „John Ziarno Jęczmienia“ mówi o siłach żywotnych ludu, bo on właśnie jest tym ziarnem, co prześladowane przez królów, zakopane w grobie — kiełkuje, cięte sierpem, bite cepem, prażone ogniem — żyje i odradza się w tych męczarniach. Lud jest nieśmiertelny.

ŁUŻYCE WOŁAJĄ — pod tym tytułem ukazała się w Toruniu szczipła, ale bardzo pożyteczna książeczka Leszka Klimy. Powinien ją przeczytać każdy Polak, aby dowiedzieć się choć tyle o tym zachodnim bastionie Słowiańszczyzny, w chwili, gdy będą się ważyły losy bohaterckiego, malutkiego narodu, wyciągającego dziś ręce o pomoc do swych silniejszych braci.

„555 KSIĄZEK wydanych w okresie powojennym“. Oto tytuł publikacji wydanej nakładem Instytutu Oświaty i Kultury, a obejmującej w układzie działowym wykaz książek, które ukazały się w Polsce od lipca 1944 roku do maja 1946 roku (22 miesiące). Ma ona służyć „najpilniejszym potrzebom na froncie informacji o książkach“ i zastąpić na razie brak takich pism, jak przedwojenny „Przewodnik Literacki i Naukowy“ czy „Książka w bibliotece“. 555 — liczba zdawałoby się imponująca. Jakżeż przykro jednak patrzeć na nią tym, którzy wiedzą, że na tym polu uczynili w tym samym czasie nasi pobratymcy — Czesi, a nawet Słowacy. Ci ostatni np. (naród trzymilionowy!) wydali od września 1945 roku do czerwca 1946 roku (a więc w czasie 9 miesięcy) 296 książek. Uwzględnwszy różnicę w liczbie mieszkańców będziemy mieli stosunek 1:10 (na naszą niekorzyść).

NAKLADEM „CZYTELNIKA“ wyjdzie w najkrótszym czasie od dawna zapowiadana antologia „Dwieście lat poezji rosyjskiej“ (Od Łomonosowa do współczesnych). Obejmie ona ponad 50 poetów i tyluż najcelniejszych tłumaczy (m. in. Trembeckiego, Dmochowskiego, Mickiewicza, Odyńca, Syrokomlę i... Żeromskiego).

NAKLADEM „KSIĄŻKI“ ukazało się ostatnio wiele poważnych publikacji. M. in. wznowiono „Pałac i ruderę“, „Lalkę“ i „Faraona“ Prusa, „Dwóch poetów“ Balzaka, „Martwe dusze“ Gogola w przekładzie W. Broniewskiego i świetną powieść norweską dla młodzieży Agot Gjems-Selmer „Nad dalekim cichym fiordem“ (współ z wyd. Mortkowicza). Z nowych wydawnictw notujemy „Upadek Paryża“ Erenburga w tłumaczeniu P. Hertza, „Poemat pedagogiczny“ Makarenki, „Osobliwe przygody Dyla Sowizdrzała“ de Costera; z poezji — „Wiersze z obozu“ T. Hokuja oraz „Bagnet na broń“ i „Drzewo rozpaczające“ W. Broniewskiego (ostatnie dwie pozycje współ z wyd. Mortkowicza pod egidą wznowionej serii „Pod

znakiem poetów"); z prozy naukowej — monografię „Leleweła“ Kormanowej i od dawna wyczerpane „Nauki ekonomiczne Karola Marxa“ Kautsky'ego. Lista bynajmniej nie jest zupełna: spółdzielnia jest bardzo ruchliwa. Dobór książek celowy. Szata zewnętrzna — estetyczna. Oczekujemy z niecierpliwością zapowiadanej prozy Aragona i antologii poezji francuskiej.

ODDZIAŁ ŚLĄSKI Zw. Zaw. Lit. Pol. wystąpił z pożyteczną inicjatywą i wydaje co miesiąc t. zw. „Arkusze Śląski“, szesnastostronicową książeczkę, zawierającą krótki życiorys i wybór wierszy poetów śląskich. Dotąd ukazały się poezje Jana Baranowicza i Aleksandra Widery.

PRO DOMO SUA Pp. p. z „Kuźnicy“ i jaszczowi z „Odrodzenia“ na ich uwagi krytyczne w stosunku do „Kameny“ odpowiemy w następnym numerze. Właściwie można by je przemilczeć, ale dlaczego się nie pośmiać?... —kaj—

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Lech Budr. w Łodzi: Nadesłane wiersze nie nadają się jeszcze do „Kameny“, ale pracować warto. Prosimy po kilku miesiącach przysłać coś nowego do kolumny debiutów, którą wprowadzimy w przyszłym roczniku.

P. Kaz. Kosz. w Świdnicy: Utwory świadczą o pewnych możliwościach poetyckich. Najlepszy „Skok ze spadochronem“. Na razie jeszcze nie możemy wydrukować żadnego. Może coś innego w przyszłości nada się do kolumny debiutów.

P. Zb. Siedl. w Kielcach: Zatrzymujemy „Wrocław“, „Opętany ogród“ i „Wiele jest krwi na gruzach“. Prawdopodobnie któryś z tych wierszy zamieścimy w jednym z n-rów rocznika VIII.

P. W. B. w Warszawie: Nie łatwo zdefiniować wiersze Pani, których otrzymaliśmy spory wybór. Nie są jednak dzisiejsze. Przeważa refleksja i jakby zamierzona suchość. W takim np. „Zamarił miście“ pobrzmiwa Asnyk. Raczej uszeregowana w linie wierszy — proza. Tylko w „Utraconym domu“, „Warszawie“ i erotykach zabije żywiej serce. Jeśli to Pani odpowiada, zamieścilibyśmy „Warszawę“ w kolumnie debiutów. proponujemy w drugiej zwrotce małą poprawkę: zamiast „ona czerpie soki“ — „czerpiąca soki“). Jeden z erotyków może poszedłby później.

P. St. Mar.-Ob. w Krakowie: Dziękujemy za wiersze. Oba zatrzymujemy, ale muszą odczekać swoją „kolejkę“.

P. St. Bal. w Katowicach: W jednym z n-rów rocznika VIII. zamieścimy „Dom wśród nocy“.

P. A. Koh. w Gliwicach: Z nowych wierszy zatrzymujemy „Jesień“ i „Podłość“. Jeden z tych wierszy lub z nadesłanych wcześniej pójdzie w kolumnie debiutów.

P. A. Br. w Łodzi: Jeden z wierszy, prawdopodobnie „Mogile“ lub „Zwierzenia“ zamieścimy w roczniku VIII „Kameny“.

P. J. Boj. (adres nieznany): Z przekładów nie skorzystamy. Wiersze oryginalne mają ładne fragmenty, całość jednak nie jest utrzymana na tym samym poziomie.

P. St. Lem. w Krakowie: Niestety, nie znaleźliśmy.

Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca.

PISMA I KSIĄŻKI NADEŚLANE

„Arkona“ N 6—8, „Chłopskie Życie Gospodarcze“ N 11—17, „Cyfry“ N 4—8, „Czeskosłowensko“ N 3—10, „Dziś i jutro“ N 29—34, „Elan“ N 1—8, „Film“ N 1—2, „Głos Nauczycielski“ N 7—12, „Iskierki“ N 12—14, „Jednodniówka Wałbrzych“, „Język Polski“, „Krytyczny Miesięcznik“ N 1—13, „Kwart“ N 5—6, „Kuznica“ N 16—33, „Kytice“ N 4—8, „Listy Teatru“ N 1, „Literaturnaja Gazeta“ N 13—31, „Młoda Rzeczpospolita“ N 1—12, „Młody Zawodowiec“ N 2, „Myśl Współczesna“ N 1—4, „Odra“ N 11—27, „Płomień“ N 2—4, „Płomyzeczek“ N 12—14, „Płomyk“ N 12—14, „Pobudka“ N 17—32, „Pokolenie“ N 1, „Polska Zbrojna“, „Poradnik Pracownika Społecznego“ N 3—10, „Pracownik Stolicy“ N 7—12, „Przyjaźń“ N 6, „Słowansky Przechled“ N 1—4, „Svobodna Zemle“ N 17—23, „Światło“ N 6—14, „Świetlica Krakowska“ N 7—16, „Tworba“ N 16—36, „Tygodnik Demokratyczny“ N 17—35, „Tygodnik Powszechny“ N 17—34, „Walka Młodych“ N 32—34, „Warszawa“ N 1—5, „Wiciowa Droga“ N 1—7, „Wieś“ N 17—33, „Znak“ N 1—2, „Życie Literackie“ N 8—15, „Życie Nauki“ N 4—5, „Życie Słowiańskie“ N 1—5.

Jalu Kurek: „Jamosik“ t. I i II Wyd. St. Kamińskiego, Kraków 1945 i 1946. Franciszek Grott i Zofia Strzelecka: „Miastu nad Brdą“ — wiersze, wyd. „Nauka“ Bydgoszcz 1946. Adam Grzymała - Siedlecki: „Juliusz Szyllong czyli Ludzie są ludźmi“ wyd. „Nauka“ Bydgoszcz 1946. Jan Baranowicz: „Wiersze“, wyd. Z. Z. L. P. Oddział Śląski 1946, Aleksander Widera: „Wiersze“, wyd. Z. Z. L. P. Oddział Śląski 1946. Stefan Otwinowski: „Czas nieludzki“ wyd. Oficyna Wydawnicza Katowice 1946. Adam Frasiak: „Urodzony w żdźble“ — wiersze, wyd. Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Pol. Kraków 1946. Bronisław Grzybek: „Miłość zdobywca“ — wiersze, wyd. „Tęcza“, Kielce 1945. Leszek Klimek: „Łużyce wołają“, Toruń 1946. Michał Rusink: „Z barykady w dolinę głodu“, wyd. E. Kuthana, Warszawa 1946.

WYDAWNICTWA SPÓŁDZIELNI „KSIĄŻKA“: Adam Mickiewicz: „Grażyna“. Tadeusz Hołuj: „Wiersze z obozu“, 1946. Władysław Broniewski: „Bagnet na broń“ 1946 (wyd. wspólnie z wyd. J. Mortkowiczem). Władysław Broniewski: „Drzewo rozpaczające“, 1946 (wyd. wspólnie z wyd. J. Mortkowicza). S. Zajęczkowski: „Dzieje Zakonu Krzyżackiego“ (Biblioteczka Popularno-Naukowa Nr 1) 1946. M. F. Subotin: „Pochodzenie i wiek ziemi“ (Biblioteczka Popularno-Naukowa Nr 2) 1946. Jerzy Barski: „Na wielkiej falli“ seria I 1946. Mieczysław Wągrowski: „Rozmowy z malkontentem“ 1946. Władysław Brus: „Urojenia i rzeczywistość — prawda o ZSRR“, 1946. Karol Marx: 18 brumaire'a Ludwika Bonaparte

1946. Karol Kautsky: „Nauki ekonomiczne Karola Marxa“ 1946. Anna Kormanowa: „Joachim Lelewel“ 1946. Bolesław Prus: „Pałac i rudera“ (Mała Bibl. „Książki“ N 7) 1946. Bolesław Prus: „Sen“ — „Cienie“ (M. B. „K“ N 8) 1946. Maria Konopnicka: „Głupi Franek“ — „W winiarskim forcie“ (M. B. „K“ N 10) 1946. Maria Konopnicka: „Dym“ — „Martwa natura“ (M. B. „K“ N 11) 1946. Maria Konopnicka: „Mendel gdański“ (M. B. „K“ N 12) 1946. Adam Rudnicki: „Koń“ 1946. Adam Rudnicki: „Major Hubert z armii Andersa“ 1946. Adam Rudnicki: „Czysty nart“ Iia Erenburg: „Upadek Paryża“ 1946. M. W. Gogol: „Martwe dusze“ 1946. Karol de Coster: „Osobliwe przygody Dyla Sowizdrzała“ 1946. Antoni Makarenko: „Poemat pedagogiczny“ 1946. Agot Gjems Selmer: „Nad dalekim cichym fiordem“ 1946. (wespół z wyd. J. Mortkowicza). Balzak: „Dwaj poeci“ 1946. Bolesław Prus: „Faraon“ t. I, 1946. Bolesław Prus: „Lalka“ t. I, II, 1946. Franciszek Gil: „Żniwo wielkiej reformy“ 1946. Julian Benda: „Antysemita z przekonania“. Władysław Broniewski: „Most im. ks. J. Poniatowskiego“. „Szczecin 1946“. Inż. Tadeusz Gede: „Co nam dają ziemie zachodnie“ 1946. Prof. dr Konstanty Grzybowski: „Senat albo antydemokratyczny albo niepotrzebny“ 1946. J. Cyrankiewicz, R. Zambrowski, J. Berman: „Referendum“ 1946.

Wanda Dąbrowska, Jadwiga Czarnecka i Józefa Skomczewska: „555 książek wydanych w okresie pokojennym“ wyd. Wydziału Książki i Czytelnictwa, „Instytutu Oświaty i Kultury“ Warszawa 1946.

Numer niniejszy zamyka rocznik VII „Kamień“. W październiku ukaże się podwójny N 1—2 rocznika VIII.

W przyszłym roku wydawniczym wprowadzamy nowe kolumny: debiutów, zapomnianych poetów i walki o czystość języka.

Przygotowujemy dwa specjalne słowiańskie numery „Kamień“: zeszyt poświęcony poezji czeskiej i wojennej i powojennej — rosyjskiej.

Nieliczne komplety dawnych przedwojennych roczników „Kamień“ (z wyjątkiem pierwszego) nabywać można w redakcji Chełm Lub., Reformacka 43) w cenie 200 zł. za rocznik.

K O M U N I K A T

Polski Słownik Biograficzny, wydawany przez Polską Akademię Umiejętności, zawiera zwięzłe życiorysy zmarłych działaczy w zakresie naszej historii politycznej, wojskowej, społecznej, gospodarczej, naszej kultury, nauki i sztuki od początków państwowości aż do czasów obecnych.

Przed wojną ukazały się cztery tomy i 4 zeszyty tego wydawnictwa, obejmujące w porządku alfabetycznym życiorysy od litery A do Dr, razem około 4.500 biografii. Całość obliczona jest na 20 tomów i ok. 20.000 życiorysów. Wydawnictwo ukazywało się zeszytami, z których każdy zawierał ok. 180 życiorysów. Polski Słownik Biograficzny stworzył na gruncie naszym wzór naukowej pracy zespołowej, skupiał bowiem pod kierunkiem Komitetu Redakcyjnego (17 członków), a pod patronatem Rady Naukowej (ok. 50 członków), — blisko 750 współpracowników z całej Polski.

Każdy naród o wyższej kulturze postarał się już o wydanie swojego słownika biograficznego. Polska skutkiem katastrof politycznych dopiero od roku 1935 mogła zacząć retalizować takie przedsięwzięcie, ale za to postawiła je od razu na wysokim poziomie. Inwazja niemiecka przerwała pracę i zagroziła jej podstawom. Dziesiątki współpracowników padły ofiarą wojny i hitlerowskiego terroru. Zniszczone zostały lub uniedostępniono różne archiwa i zbiory, z których Słownik czerpał materiały. Ocalało na szczęście archiwum Polskiego Słownika Biograficznego, dzięki czemu Redakcja po przełamaniu pierwszych trudności przystępuje obecnie do kontynuacji wydawnictwa. Wiadomość o oddaniu do druku kolejnego zeszytu P. S. B. (zeszyt 25) wywoła niewątpliwie radosny oddźwięk wśród licznych przyjaciół i odbiorców wydawnictwa. Tempo jednak i poziom zależeć będzie od środków pieniężnych Akademii, oraz od poparcia, jakiego mu udzieli społeczeństwo.

Redakcja Polskiego Słownika Biograficznego, zwraca się tedy z apelem do szerokich sfer zainteresowanych w rozwoju naszej kultury a zwłaszcza do zarządów bibliotek naukowych, oświatowych, fabrycznych i szkolnych, zarówno państwowych, jak i samorządowych o przystąpienie w charakterze stałych prenumeratorów do budowy tego wielkiego dzieła.

Polski Słownik Biograficzny będzie wychodził nadal zeszytami, dając na razie ze względu na trudności techniczne, nie pięć, ale trzy zeszyty rocznie. Nakład Słownika będzie ze względu na konieczność oszczędzania papieru i koszty druku ograniczony. Polska Akademia Umiejętności pragnie go stosować do istotnego zapotrzebowania bibliotek i czytelników. Cena najbliższego zeszytu w prenumeracie wynosić będzie ok. zł. 200.—, Nowi prenumeratory otrzymują prawo pierwszeństwa w zaopatrzeniu się po niższych cenach w przedwojenne tomy Słownika. Prenumeratory przedwojenni będą mieli możliwość uzupełnienia kompletów zniszczonych.

Zgłoszenia prenumeraty przyjmuje biuro Redakcji, mieszczące się w gmachu Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków, ul. Sławkowska 17, i ono też udziela wszystkich niezbędnych informacji.

**KUPUJCIE, PRENUMERUJCIE
I CZYTAJCIE „K A M E N Ę”**

Drukarnia Nr 1
SPÓŁDZ. WYDAWN.
„CZYTELNIA”
Lublin,
l. Zamojska Nr 24.
A—11015

